

# Gazeta Sremska

7-8/2016

ISSN 1231-7478

dwumiesięcznik

lipiec/sierpień

rok XXVI

cena 5 zł



*plażowa*  
**Moda**  
*w stylu*  
**Retro**



B  
102

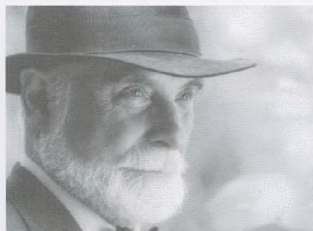


# STANISŁAW MROWIŃSKI

sztuka użytkowa  
- projekty -

WYSTAWA  
czerwiec-sierpień  
2 0 1 6

 MUZEUM  
SREMSKIE



### Po co nam piękno...

Tyle mówi się o pięknie, czasami bez żadnego emocjonalnego pokrycia, a czasami z niedowierzaniem. Czy piękno jest potrzebne w naszym życiu, czy trzeba piękna poszukiwać, czy może przychodzi samo i zarzuca na nas sieć zauroczenia?

str. 4



### „Legiony”. Ostatnia niedokończona powieść Henryka Sienkiewicza

Pisząc artykuły do „Gazety Śremskiej” o moim przodku Jędrzeju Dalekim, uczestniku wojen napoleońskich, staram się poszerzać swoje wiadomości o lekturę prac historycznych i beletrystycznych o tej epoce.

str. 19



### Byłam harcerką (jedno ze wspomnień sprzed 68 laty)

Nie wiem jak dziś przebiegają obozy harcerskie, jaki mają charakter, warunki, jakie stawiają sobie cele. Ja dobrze pamiętam jak wyglądał mój pierwszy wyjazd na obóz harcerski ze Śremu.

str. 33

---

## Spis treści

|         |                                                                                     |         |                                                    |
|---------|-------------------------------------------------------------------------------------|---------|----------------------------------------------------|
| str. 03 | 444 słowa redaktora naczelnego                                                      | str. 33 | Byłam harcerką (jedno ze wspomnień sprzed 68 laty) |
| str. 04 | Po co nam piękno...                                                                 | str. 36 | Sezon ogórkowy                                     |
| str. 06 | Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich cz.III | str. 40 | Kate Atkinson. Życie po życiu.                     |
| str. 10 | Piotr Rojek                                                                         | str. 42 | Kwestionariusz kultury                             |
| str. 12 | Szkoła bohaterów                                                                    | str. 44 | Nasz talent: Olga Garstka                          |
| str. 15 | Wieści z ratusza                                                                    | str. 46 | Jazda                                              |
| str. 20 | Legiony. Ostatnia niedokończona powieść Henryka Sienkiewicza                        | str. 48 | Brescia. Renesans na północy Włoch                 |
| str. 24 | Moje magiczne miejsca                                                               | str. 50 | Jest takie muzeum prześliczne...                   |
| str. 28 | Szkoci w Polsce                                                                     | str. 52 | Rodzina i przyjaciele Ks. P. Wawrzyniaka           |
|         |                                                                                     | str. 54 | ŚOK – wydarzenia                                   |
|         |                                                                                     | str. 56 | Biblioteka drugi dom                               |



# 444 słowa redaktora naczelnego

---

Niektórym czytelnikom Gazety Śremskiej i znaczącej większości bywalców Muzeum Śremskiego wiadomo, że jedną z atrakcji ekspozycji muzealnej jest fotoatelier w stylu retro. To mały salonik, w którym nie tylko panuje atmosfera z przełomu wieków (XIX/XX), ale podczas wernisażu unosi się zapach parzonej kawy, a czasami chęć odwrócenia się plecami od irytującej swym skomplikowaniem współczesności. Nieodłącznym elementem tego fotograficznego studia są kostiumy „z epoki”, bo tam fotografuje się piękne postaci. Tam nie istnieje przypadek, zamknięta powieka, otwarte głupawo usta, kiepskie światło, niechlujstwo i pośpiech. To, rzecz oczywista, nie są „fotki wrzucane na Instagrama”, bo na tym portalu znajdują się zdjęcia będące dowodem namacalnym jakiegoś konkretnego wydarzenia albo istotności osoby.

Wiadomo, w epoce mediów elektronicznych i serwisów społecznościowych, spotkaniom, wizytom i innym towarzyskim interakcjom zwyczajnie musi towarzyszyć pstrykanie zdjęć. Każdy ma, a przynajmniej może mieć smartfon albo inny rejestrator obrazu malowanego światłem, którego używanie niewiele kosztuje...pstryk, pstryk, pstryk. Niejeden z nas pstryknął podczas jednej sesji więcej razy niż fotograficy z zamierzchłych czasów razem wzięci. Moja rodzina fotografuje własne posiłki ustawiane przed wygłodniałym konsumentem w domu lub restauracji i wysyła te obrazy innym zainteresowanym członkom tej samej bliskiej rodziny. Taki egzotyczny obyczaj sprowokowany przez technologię.

Ostatnio natrętnie jak mucha przed deszczem

atakuję mnie reklama banku i jego produktu, która głosi egoistycznie brzmiącą formułkę, że „moje” wszystko zmienia. Oczywiście na lepsze. Niby coś w tym jest, ale jakoś mimo dobrych intencji autorów wieje chłodem. No bo jak? Lubię tylko mojego psa i moje dzieci. Cenię tylko moje pomysły. Moi znajomi są lepsi od nieznajomych. Moje żarcie jest zawsze smaczniejsze. Wystarczy. Jednak przesłanie tej reklamy rzuca światło na tajemnicę popularności przemilczanego na razie w tym tekście rodzaju współczesnej fotografii. W centrum uwagi jest przecież tak zwane selfie, czyli fotografia wykonana samemu sobie telefonem lub tabletem „z rąs”, czasem dozbrojonej w specjalny przedłużający ją kij z uchwytem na urządzenie rejestrujące. Potrzeba posiadania takiej fotografii uznawana jest przez niektóre modelki i niektórych modeli za konieczność. Jednak przed niektórymi pstryknięciami wypadałoby się chociaż przez chwilę zastanowić, bo jak powiedział Andy Warhol: *Również piękności mogą źle wyglądać. Jeśli w odpowiednim momencie sfotografujesz piękność w niewłaściwym świetle – katastrofa.*

Dlatego powracamy od czasu do czasu do fotograficznego studia, podpatrujemy mistrzów na wystawach, bierzmy udział w festiwalach z tradycjami. Kończę, są wakacje i chyba sobie strzelę focię! Niejedną. Pstryk, pstryk, pstryk, pstryk...

Mariusz KONDIELA

# Po co nam piękno...

## Warto przypomnieć

Tyle mówi się o pięknie, czasami bez żadnego emocjonalnego pokrycia, a czasami z niedowierzaniem. Czy piękno jest potrzebne w naszym życiu, czy trzeba piękna poszukiwać, czy może przychodzi samo i zarzuca na nas sieć zauroczenia? Czy dostrzega się piękno będąc odczytanym w literaturze, osłuchanym muzycznie, czy może zapatrzonym w kolejne dzieła malarskich mistrzów? A może to naturalny dar spostrzeżenia, odczuwania, czy dotykania? Tysiące pytań, na które trudno znaleźć odpowiedzi, a jednak je zadajemy, czując komfort poznania. Zazwyczaj piszę o biografii zmarłych poetów – dostarczają nam niecodziennych opisów wrażeń, dają poznawać świat inaczej niż wszyscy go postrzegają. Ale jak? Prócz materialności zaczynamy spostrzegać delikatność świata, jego cechy – czasami trudno uchwytnie – w znaczeniu poznawczym cenniejsze, bardziej wartościowe. Skąd czerpać wiedzę na temat możliwości poznawania piękna? Czy jest możliwy jakiś wskaźnik piękna? Wszak poezja jest siostrą królowej nauk: filozofii.

Krakowski Copernikus Festival to szczególne wydarzenie, gdzie godzinne wykłady nagradza się gromkimi brawami, a sądy wygłaszane znajdują wielokrotnie stosowane powtórzenia. Festiwalowe gwiazdy: Michał Heller – wybitny filozof, kosmolog i teolog, John Banville – pisarz, laureat Nagrody Bookena, czy wreszcie Stefan Chwin, który stwierdzeniem, że ludzie są wrażliwi na piękno, wydaje się truizmem – zapanował nad wszystkimi duszami. Wszystkie współczesne ludzkie kultury wytwarzają dekoracyjne przedmioty, praktykują ozdabianie ciała czy tworzą wyroby, których najważniejszą funkcją zdaje się po prostu wywoływanie przeżyć estetycznych – dzieła sztuki. Pokłósiem wygłoszonego podczas festiwalu wykładu jest niewielka książka: *Zwodnicze piękno*, która została wydana przez Bibliotekę Tygodnika

Powszechnego. W epoce politycznych powikłań, panowania uśrednionych gustów i systemowej przemocy, pytanie „po co nam piękno?” jest niewygodne i słyszane z rzadka. Co zrobić z pięknem, gdy bieda pokrywa coraz większą część Ziemi, brzydota zalewa świat, a kosmos głuchy jest na nasze utyskiwania? Czy piękno rzeczywiście może zbawić świat, jak myśleli zawsze artyści? Albo przynajmniej odrobinę go naprawić? Czy piękno może usprawiedliwić gwałt, nieczne intencje, pustkę myśli, brak ludzkiej solidarności? Czy piękno nadal idzie w parze z dobrem i prawdą, czy już dawno drogi tych trzech wartości się rozeszły?

Stefan Chwin w pasjonującym autobiograficznym eseju pokazuje, że choć nie ma jednoznacznej odpowiedzi na te pytania, to każdy, komu nieobce są losy współczesnej kultury, powinien je – sobie i innym – zadać. **Oto fragmenty książki:**

*Miliony turystów zachwycają się budowlami, które zostały zbudowane z ludzkiego bólu i krwi, a dzisiaj królują ornamentem pięciu gwiazdek na liście dziedzictwa kulturowego UNESCO, ku radości roześmianych wycieczek szkolnych i pogodnych emerytów z Niemiec i Japonii. British Museum pełne jest cennych przedmiotów zrabowanych w Indiach, Egipcie i Grecji. Czy ktoś kiedykolwiek zapłacił ludom Afryki za rabowane przez stulecia szlachetne gatunki drewna – mahoń, heban, palisander – z których zbudowano piękno Wersalu, Zamku Królewskiego na Wawelu i pałacu Buckingham? Piękno, ból i krew – nierozzerwalna jednia na ziemi?*

Niewielka objętościowo książka dostarcza tyle nauki, tylu emocji co niejedno dzieło literackie. To obowiązek przeczytać ze zrozumieniem ten tekst. Nic dodać, nic ująć. Prof. zw. dr hab. Stefan Chwin, absolwent studiów polonistycznych na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Gdańskiego w 1973 roku, jak zwykle potrafi

łączyć wątki literackie z naukowymi, spostrzeżenia bieżące z historią, poezję wielkiego mistrza Zbigniewa Herberta z analizą teraźniejszości. Czy da się pogodzić te wszystkie przestrzenie? Tak, Stefan Chwin robi to znakomicie. Przecież to uczeń profesor Marii Janion, u której bronił rozprawy doktorskiej *System romantyczny we współczesnej prozie polskiej (Berent, Witkiewicz, Gombrowicz, Schulz, Konwicki)*.

Już w latach siedemdziesiątych wyraźnie zarysowały się główne kierunki zainteresowań naukowych autora. Liczne prace publikowane w tym czasie poruszały problematykę związków literatury XX wieku z literaturą i kulturą epoki romantyzmu, akcentując całościowy charakter tych związków, które – w przekonaniu autora – nie dawały się sprowadzić do kategorii „wpływów” czy izolowanych „zapożyczeń”. Drugą dziedziną zainteresowań badawczych Stefana Chwina stała się w tym czasie problematyka aksjologicznych podstaw krytyki literackiej oraz problematyka związków między etyką a formą w literaturze. Poświęcona tej problematyce, wydana wspólnie ze Stanisławem Rośkiem książka *Bez autorytetu*, została wyróżniona w 1984 roku prestiżową Nagrodą Fundacji im. Kościelskich w Genewie.

Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to okres intensywnej pracy Stefana Chwina w zespole redakcyjnym serii „Transgresje”. Praca ta, obok kilku artykułów, które inicjowały dyskusje na prowadzonym przez Marię Janion konwersatorium „Literatura i antypsychiatria”, zaowocowała publikacją dwutomowej książki *Dzieci* (pod redakcją Marii Janion i Stefana Chwina (1989) – Nagroda Wiatru od Morza). Stefan Chwin zajmował się wówczas problematyką literackiej ekspresji doświadczeń granicznych (m.in. prace o recepcji dzieł prof. Antoniego Kepińskiego czy o filozofii dzieciństwa w powieściach Dostojewskiego).

W latach dziewięćdziesiątych Stefan Chwin zajmował się twórczością Brunona Schulza i Witolda Gombrowicza (poślowie do nowego wydania „TransAtlantyku” z 1996). W swoich pracach podejmował też problematykę idei wolności w literaturze współczesnej (szczególnie w twórczości pisarzy Nowej Fali).

W roku 2005 ukazały się w niemieckim przekładzie wykłady *Statten des Erinnerns*. Dresdner Poetikvorlesungen (Thelem Verlag,

2005, poświęcone doświadczeniu środkowoeuropejskiemu w literaturze, z bibliografią twórczości autora), jakie Stefan Chwin wygłosił na Uniwersytecie Drezdeńskim.

Stefan Chwin wygłaszał wykłady i odczyty m.in. w Londynie, Berlinie, Sztokholmie, Petersburgu, Moskwie, Rzymie, Rapperswilu, Hamburgu, Uppsali, Dallas, Drohobyczu, Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Lublinie, Zurychu, Rzymie, Bukareszcie, Guadalajarze. Jest autorem kilkudziesięciu artykułów i recenzji. Brał też udział w wielu konferencjach krajowych i zagranicznych (m.in. sympozjum Słowacki mistyczny, Instytut Badań Literackich 1979, konferencja poświęcona twórczości Brunona Schulza na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1993 roku, międzynarodowe sympozjum Wokół Schulza, Drohobycz 1992 i inne). Jego artykuły były tłumaczone na język angielski, rosyjski, węgierski, ukraiński, litewski, niemiecki, szwedzki i inne.

W latach dziewięćdziesiątych i po roku 2000 Stefan Chwin prowadził na Uniwersytecie Gdańskim wykłady w ramach fakultetu *Samobójstwo jako temat literatury i sztuki europejskiej*. Wykłady te – rozszerzone i uzupełnione – złożyły się na książkę *Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni*, która ukazała się drukiem w 2010 roku oraz *Samobójstwo i „grzech istnienia”* wydaną w 2013 roku. W roku 2012 Stefan Chwin opublikował także monografię *Miłosz. Interpretacje i świadectwa*, w roku 2013 zaś *Miłosz. Gdańsk i okolice. Relacje. Dokumenty. Głosy*. Od roku 1973 Stefan Chwin pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Był sześciokrotnie wyróżniany nagrodą Rektora w dziedzinie osiągnięć naukowych.

Adam LEWANDOWSKI

Opracowano z wykorzystaniem biografii Stefana Chwina zamieszczonej w katalogu Copernikus Festival 2016.

# Jędrzej Daleki-

– pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich  
cz.III

Po pokoju w Tylży Francja nie miała już wrogów w Środkowej Europie, ale wojna z Wielką Brytanią trwała nadal. Anglicy napadali francuskie statki na morzu posługując się do tego portami w Portugalii, dlatego Napoleon postanowił opanować ten ostatni wrogi mu obszar kontynentalnej Europy. Posłał więc swoje wojska przez terytorium przyjaznej Hiszpanii i w listopadzie 1807 roku Portugalia została podbita, a Hiszpania znalazła się pod nieformalną okupacją armii francuskiej. Napoleon 5 maja 1808 roku zmusił króla Hiszpanii Karola IV do abdykacji, a 30 czerwca na tronie w Madrycie posadził swego brata Józefa Bonaparte. Spowodowało to, że w całym kraju wybuchła rewolta, która w konsekwencji wydarzeń politycznych przerodziła się w wojnę na całym półwyspie iberyjskim. Pogarszająca się sytuacja militarna zmusiła Francuzów do znacznego powiększenia sił zbrojnych i tak Dywizja Księstwa Warszawskiego znalazła się na granicy w Pirenejach.

*W sam Święty Marcin (11 listopada 1808 roku) – słońce pięknie świeciło, muzyka nam ostro przygrywała, – przechodziliśmy góry, mnie się zdawało że aż do samego nieba sięgające, które są między Francją a Hiszpanią. Przeszedłszy granicę bitą ale wężykowatą drogą ujrzelśmy się w Hiszpanii, w kraju zupełnie obcym. Z początku nie spotkaliśmy żadnego nieprzyjaciela, ale lud hiszpański bardzo z ukosa na nas patrzył. Dla ostrożności wszelako odbywaliśmy noclegi pod gołym niebem zdala od wsi i miast.*

*Dopiero pod Wiktoryją (Vitoria – miasto*



Antoni Paweł Sułkowski (ur.1785 w Lesznie, zm.1836 w Rydzynie), pułkownik 9. pułku piechoty w Hiszpanii

*w północnej Hiszpanii) przyszło do wielkiej bitwy, w której sam Napoleon komenderował. Widzę go jeszcze dziś, jak z całą paradą i wielką swiłą jenerałów wspaniale ubranych uwijał się na koniu siwym przed frontem naszym, a kule świstały jak grad. Hiszpanie, których była wielka moc, ogromnie się bronili. Huk był taki, że aż ziemia drżała, ale nie nadszedł był jeszcze wieczór, a jużemy ich pokonali. Wieluśmy*

zabrali w niewolę, reszta uciekała co mogła ku południowi.

Pod Burgos (miasto w Kastylii) drugi raz nam opór stawili, ale jakeśmy ich zaczęli prażyć, zmiatali wnet co żywo. My też za nimi posuwaliśmy się aż do Madrytu, stolicy Hiszpaniji.

W drodze stanęliśmy dnia jednego obozem nad jakimś czworobocznym kanałem. Gdy konie naszej konnicy z niego pić poczęły wodę, zaraz z nich na miejscu padło kilkanaście, a dwóch żołnierzy, którzy się z niego także napili, dostało takiego bólu brzucha, że ledwo nam nie umarli. Podobno woda ta była zatruta, dla tegośmy jeszcze tej samej nocy milę dalej odmaszerowali.

W Madrycie chcieli się Hiszpanie bronić, ale miasto nie pozwoliło, tylko powiedziało: chcecie się bić, to idźcie na otwarte pole. Udali się więc teraz Hiszpanie głównie na dwa trakty. Jedni szli na zachód ku Portugalii a drudzy ku południowi do Toledo. I nas podzielono; jedni szli ku Saragossie, nasze trzy pułki, to jest czwarty, siódmy i dziewiąty, do którego ja należałem, przeszedłszy Somosierrę i Madryt udały się ku Portugaliji, gdzie Anglicy mocno dopomagali Hiszpanom.

Materiały źródłowe przedstawiają wojnę na półwyspie iberyjskim jako najokrutniejszą wojnę swoich czasów, gdzie okrucieństwo i bezwzględność przejawiała się z obu stron walczących. Polscy żołnierze uczestniczyli w niej jako sprzymierzeńcy Francuzów, znienawidzonych przez Hiszpanów i byli poddani wszystkim prawdom tej wojny – od tych najbardziej barbarzyńskich, po te najcięższe.

Idąc ku granicy Portugalskiej stanęliśmy obozem na wsi. Nazajutrz ruszyliśmy dalej, a jeden generał nasz został jeszcze z kompaniją wojska w tej wsi, nie wiem dlaczego. Gdy on wyjechał, a kompanija miała za nim iść, naprowadzili ją chłopci na wojsko hiszpańskie. Podążyliśmy im na pomoc, ale już za późno, bo już ich byli Hiszpanie do szcztu zbili. Tylkośmy ich ciała przykładnie pochowali. We wsi tymczasem nie było nikogo widać. Kapitan Jasielski został z naszym

batalijonem drugim na górze pode wsią, a nas kilkunastu wykomenderował do wsi, abyśmy poszukali coś do zjedzenia, a zarazem dowiadywali się o winowajcach. Szukamy po domach, żywej duszy nie widać. Weszliśmy wreszcie do wielkiego domu, a tu w czwartym pokoju leży na łóżku śliczna, młoda niewiasta właśnie przy połogu. Daliśmy jej pokój, tylko donieśliśmy kapitanowi o niej. Kapitan mówi do nas: „Pod wieczór pójdziecie jeszcze raz do tego domu; do tej niewiasty ktoś pewno przyjdzie.” – Poszlismy na wieczór i istotnie znaleźliśmy mężczyznę młodego siedzącego przy jej łóżku. Wzięliśmy więc podług rozkazu i męża i ową niewiastę i dziecko, i przyprowadziliśmy do obozu. Niewiastę słabą kazał kapitan szanować, dla tego roznieciliśmy ogień i kazali jej z dzieckiem usiąść przy nim, a męża trzymaliśmy. Gdy noc minęła, niewiastę i dziecko odprowadziliśmy do domu, a męża wzięliśmy za przewodnika, aby nas wyprowadził szczęśliwie do naszych. A on wyprowadził nas prosto na wojsko hiszpańskie. Już też i kapitana złość wzięła, choć był dobry człowiek. Po cichu kazał nam iść na bok w bór, żeby nas Hiszpanie nie ujrzeli, a gdyśmy wyszli szczęśliwie z łapki do boru, kazał naszemu przewodnikowi związać duże palce u rąk w tył, przywiązać go do drzewa i bić, poczem dostaliśmy się szczęśliwie do swoich.

Ucieraliśmy się w drodze ciągle, ale na granicy Portugalskiej była wielka bitwa z Anglikami i Hiszpanami w samo Boże Narodzenie. Biliśmy się tak, że nam już siły prawie ustawały, aleśmy Bogu dzięki zwyciężyli. Naszych też dużo w tej bitwie zginęło, mianowicie ułanów, którzy się byli za nado zapędzili na most, tak, iż Hiszpanie na lance ich brali i z mostu w rzekę żywo zrzucali. (most na rzece Tag, na granicy portugalskiej). Więcej jednakowoż zginęło Hiszpanów, a wielką moc narodu zabraliśmy do niewoli, nawet i księży dużo.

Jednemu księdzu zabranemu – pamiętam dobrze – po owej bitwie klóski gotowaliśmy i dawaliśmy, boć to osoba duchowna; ale nie chciał nic jeść, tylko smutny siedział na odwachu. Trzy niedziele chodziliśmy po Portugaliji, jużśmy byli blisko Lizbony, stolicy Portugalskiej, aleśmy dostali rozkaz i wróciliśmy do Hiszpaniji do Toledo.



Obraz Jerzego Kossaka z „Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej” M. Kukiel 1912 r.

*Przeszło ośm miesięcy staliśmy w Toledo w kościołach albo celach klasztornych. Obstąpili nas tu prawda Anglicy i Hiszpanie i tak do nas bili z armat, że ziemia się trzęsła. Puszczali bomby i kule palące się, ale to nic nam nie szkodziło, bo miasto było obmurowane murem grubym kamiennym. Spokojnie więc siedzieliśmy w mieście i w karty grali. Ja sam wygrałem podczas gradu kul armatnich pełne kieszenie i pełen kaszkiet samych talarów pięciofrankowych francuzkich. Ale to tam człowiek dbał o pieniądze nie dbał, bo nigdy nie był pewien życia, a pieniądze jeno ciążyły przy marszu. Najgorzej było, żeśmy wody nie mieli w cytadeli za miastem, w której ja byłem. Trzeba więc było wśród strzałów nieprzyjacielskich albo nocą chodzić po wodę.*

*Będąc w Toledo, gdzie wiele i wielkich widziałem kościołów, poszedłem raz do kościoła. Wchodzę i oddaję najprzód pokłon Bogu, a potem podnoszę oczy na ludzi, a tu wszystko w czerni. Najśłodsze imię, myślę sobie, czy ja tu pomiędzy potępieńcami? Ale przychodzi do mnie człowiek, – pewnie kościelny – i widząc mnie klęczącego, bierze mnie pod rękę i prowadzi. Jużem myślał, że żywo nie wyjdę na świat, a tu on prowadzi mnie na gradus ołtarza wielkiego, i każe uklęknąć obok księdza. Klękam i mówię sobie pobożnie pacierz po polsku jak mnie matka nauczyła, a oni z księdzem odmawiali sobie pewnie litaniją, bo ciągle odpowiadali księdzu tak jakby „Módl się za nami”. Skończyli, a mnie znowu bierze pod rękę ów człowiek, odprowadza do drzwi i mówi do mnie: „bono katoliko – romano” to jest: dobry*

*katolik rzymski. Poszedłem jeszcze raz z innymi towarzyszami do tego kościoła. Ale że oni zaczęli rozmawiać i śmiać się, wyszedłem, żeby nie obrażać Boga w kościele, a i Hiszpanie byliby nas mogli za to zabić.*

*Z Toledo wychodziliśmy ciągle na patrole. Pod Arangoz (Aranjuez) przetrzepaliśmy mocno Hiszpanów, bo ich tam znowu dużo się na nas zebrało, i wróciliśmy napowrót do Toledo, gdzie się znowu zbrali na nas, ale my ich niespodzianie napadli i rozegnali.*

18 listopada 1809 roku miała miejsce największa bitwa kawaleryjska tej wojny. Wojska francuskie dowodzone przez marszałka Soult'a i króla Józefa Bonaparte odniosły swe największe zwycięstwo w czasie wojny w Hiszpanii. Bardzo dokładnie przebieg bitwy opisuje Jędrzej Daleki:

*Niedługo potem dowiadujemy się że wielka liczba Hiszpanów szykuje się na nas pod Almonaz (Almonacid de Toledo). Pospieszaliśmy ku nim i nastąpiła zjadła walka. Pod księciem Sułkowskim dwa konie ubito. Nie mogliśmy Hiszpanów ruszyć, ale i oni nas też nie mogli. Hiszpanie usadowili się w zamku obwarowanym na górze i zaczęli nas z armat ostro prażyć; ustapiliśmy przeto na prawo może z ćwierć mili od tej cytadeli pod miasto Okanią (Ocana). Na obszernym polu rozłożyliśmy się, a było nas wszystkich podobno do pięćdziesiąt tysięcy chłopów. Hiszpanów zaś miało być jeszcze więcej. Sami bowiem pisali do nas, abyśmy się poddali, bo jest ich siedmiu na nas jednego. My się jednak nie bali. Uderzyliśmy na nich najpierw w kolumnach, ale daremnie, bo mieli dużo konnicy, która nas rozbić chciała. Utworzyliśmy więc trzy czworoboki, to jest każdy pułk stanowił jeden czworokąt; z samych Polaków składały się te czworoboki, bo tylko czwarty, siódmy i dziewiąty pułk do nich wchodziły. Czworokrany te były w jednej linii i to tak byliśmy w nich ustanowieni, że trzy pierwsze rzędy nadstawiały bagnety jedne nad drugimi, a trzy następne rzędy przez nie strzelały. W środku zaś mieliśmy po trzy armaty, które raz poraz rozstępując się w rogu czworoboku wypuszczaliśmy z środka do dania z nich ognia. Tymczasem inne wojska nasze ucierały się w rozmaity sposób z nieprzyjacielem. Hiszpanie ustawiczny do nas przypuszczali szturm, to znów z armat ognia*

*dawali, ale niezbyt szkodliwie, tak że sądzili, że nas się kule nie chcą imać. Jeden generał Hiszpański wór pieniędzy włożył w armatę i kazał nim wystrzelić, ale i to im nie pomogło. Posłaliśmy wreszcie na bagnety, a nasza tęga arteleryja Hollenderska dała równocześnie ognia z armat i przemogliśmy ich. I to szczęście nasze, bo ledwieśmy zwyciężyli, a tu widzimy ogromną masę ludu wysypującą się z lasu oliwnego, spieszącą na pomoc Hiszpanom. Rozpędziliśmy jednak i tych, i pędziliśmy wszystkich aż pod góry Serra Moreńskie ( pasmo gór Sierra Morena w południowej Hiszpanii). Stojąc tam dwa tygodnie przepędziliśmy ich powoli za góry, a sami wróciliśmy do Mansanares.*

Dodam jeszcze fragment z opisu tej bitwy przez historyka Mariana Kukiela: „Rankiem 19 listopada rozpoczął się bój walny. Znowu piechota polska na lewym skrzydle zadecydować miała zwycięstwo. Atak jej odbywał się pod ogniem morderczym całej artylerii hiszpańskiej. Zachwiały się szeregi. W krytycznym momencie książe Sułkowski pochwycił orła pułku piechoty wołając: Kto Polak za mną! Pozycja została zdobytą, oblana krwią 22 oficerów polskich.”

*W Mansanares zbrali nas Polaków do kupy w sześć kompanij, do tego przyłączono ułanów polskich i kiraserów i huzarów francuskich, ogółem ze trzy pułki konnicy. Wzięli bowiem z każdego pułku polskiego po dwie kompanije. Tak oddzieleni od swoich chodziliśmy blisko trzy lata. Każdy batalijon miał kompaniją grenadyerów i kompaniją strzelców czyli woltýzerów, do których ja należałem. Jenerałami naszymi byli: Walans (Valence), Żyro (Giraud), Sul (Soult) i inni. Osobliwie byliśmy pod komendą marszałka Sobestýjana (Sebastiani). Książe Sułkowski i inni polscy jenerałowie zostali przy pułkach w tyle. Z Polaków mieliśmy z sobą najwyższej kapitanów. Kiedy nam szło dobrze, tośmy szli naprzód, a gdy nam było ciężko, tośmy się cofali do swoich.*

Maria KONIECZNA

# Piotr Rojek

## Ludzie, których spotkałem

Spotykamy się dość często. Rozmawiamy. Nadal współpracujemy... Znamy się już ponad trzydzieści lat.

Piotr Rojek (ur. w 1961 r.) nietypowo wkraczał w dorosłe życie. W 1980 r. zaczął studiować historię na UAM. Czas pierwszej „Solidarności”, kilkanaście burzliwych miesięcy. Piotr uczestniczy w studenckich strajkach (październik-listopad 1980, kwiecień i listopad 1981). 13 grudnia 1981 r. komuniści wprowadzają w Polsce stan wojenny. Represje, internowania, aresztowania, wyrzucanie z pracy... Piotr Rojek też płaci dużą cenę za udział w wolnościowym zryw. W marcu 1982 r. relegowany z uczelni. Podejmuje pracę w Szkole Podstawowej nr 2 w Śremie. Jednak „wojenna władza” o nim nie zapomniła. Wbrew orzeczeniom lekarskim, w kwietniu 1983 r. dostaje powołanie do wojska. Kilka miesięcy trwa „sprawdzanie” stanu zdrowia, zanim znów staje się cywilem. Przez rok pracuje w Szkole Podstawowej nr 5. We wrześniu 1984 r. wraca do „Dwójki”. Nie może uczyć ulubionego przedmiotu, na studia nie może wrócić, pracuje więc w świetlicy szkolnej. Dopiero w 1986 r., w czasie komunistycznej „odwilży” uzyskuje zgodę na kontynuowanie studiów w trybie zaocznym i po kilku latach – dyplom magistra historii. Jego sytuacja stabilizuje się, wreszcie może spełniać swoje powołanie jako nauczyciel historii.

Poznaliśmy się w r. 1984, gdy wrócił do SP 2. Od razu znaleźliśmy wspólny język. Praca w szkole, spotkania prywatne... Rozmowy o tym, co było i co przed nami. Ponure lata osiemdziesiąte to przecież nie tylko puste sklepowe półki. Działało solidarnościowe podziemie, nielegalne



wydawnictwa, demonstracje. Z „tamtej” strony – wszechwładna cenzura, zastępująca prawdę komunistyczna propaganda w tv, pacyfikacje dokonywane przez ZOMO. W szkołach: zideologizowane programy wychowawcze pod partyjnym nadzorem. U nas w Dwójce dodatkowe „atrakcje”. Szkoła nosiła przecież imię Bohaterów Armii Radzieckiej... Już w drugiej połowie lat 80. dało się odczuć, że coś się musi zmienić, że „to oficjalne” jest grą pozorów... Nadszedł rok 1989. Pierwsze demokratyczne (choć nie całkiem wolne) wybory. Pierwszy niekomunistyczny rząd,

koniec PRL, początki III Rzeczypospolitej! Uznaliśmy z Piotrem, że pierwszą zmianą w naszej szkole ma być „pożegnanie się z patronami”.

Piotr Rojek bierze aktywny udział w tworzeniu nowej rzeczywistości. Przekonuje nieprzekonanych, zgłasza wnioski na radach pedagogicznych i... czynnie (dosłownie) uczestniczy w zdejmowaniu tablicy radzieckich bohaterów. Przygotowuje uczniów do wyboru nowego Patrona, przedstawia zasługi ks. Wawrzyniaka. Dla Piotra – historyka z wykształcenia, regionalisty z zamiłowania – Książd Patron jest swoistym symbolem, wzorem społecznych działań. Wraz z nadaniem szkole imienia w 1991 r. inicjuje międzyszkolne konkursy wiedzy o ks. Piotrze Wawrzyniaku, współorganizuje szkolne rajdy imienia Patrona, wielokrotnie wyjeżdża z uczniami do Mogilna i innych miejsc związanych z jego działalnością. Angażuje się w prace związane z nadaniem imienia gimnazjum (2000), z organizowaniem uroczystości przekazania szkole sztandaru (2003), z obchodami Jubileuszy „Dwójki”... W krzewieniu idei Patrona nie ogranicza się do szkoły. W 1999 r. należy do założycieli Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie. Będąc przez 16 lat członkiem Zarządu, pracuje społecznie – najpierw przy postawieniu Pomnika na Jezioranach i później, w wielu działaniach podejmowanych przez Towarzystwo.

Nauczyciel. Trzeba go ocenić –? Tak, bo nauczyciele stale są oceniani – nie tylko przez uczniów i ich rodziców. Muszą (!) być oceniani przez dyrekcje szkół oraz oświatową i samorządową zwierzchność... Jakim jest

nauczycielem? Nieszablonowym. Uczy w sposób tradycyjny, nie goni za nowinkami, jak tzw. coraz bardziej aktywizujące metody, multimedia itd. I – bez tych „nowoczesności” potrafi zarażać uczniów historyczną pasją. Utwierdzam się w tej opinii coraz bardziej, szczególnie po rozmowach z absolwentami szkoły, którzy wspominają swych nauczycieli. Z reguły mówią o Panu Rojku, jako o tym, który miał z nimi wspaniały kontakt, umiał nauczyć, docenić i zrozumieć... W mej pamięci Piotr to jeden z tych, których nie trzeba namawiać do dodatkowych zadań (ileż czasu poświęcił na pracę pozalekcyjną, w roboczych tygodniach, w soboty, podczas ferii...). Prywatnie – otwarty, szczery, lojalny, gotowy do pomocy i współpracy. Z dystansem do siebie, czasem impulsywny i... narzekający (narodowa cecha?).

Historyk, regionalista, tropiciel stopnia zawartości prawdy w legendach o Śremie. Ale – wśród swych pasji na pierwszym miejscu wymienia modelarstwo. Tak było! (pamiętam Piotrze, jak uczyłeś Piotrusia...). I tak jest! („od zawsze” prowadzi w Dwójce koło modelarskie). Dodam – niezwykle przywiązany do szkoły, żyjący nie tylko jej historią. Ostatnio znów się „nabiegał w sprawie” – renowacji zabytkowego szkolnego zegara. Nadal pracuje (33 lata w jednym miejscu – no!). Nadal działa. Nie kończmy – cdn. :)

Leszek MAŃKOWSKI  
fot. zbiory SP2 w Śremie

# Szkoła „bohaterów”

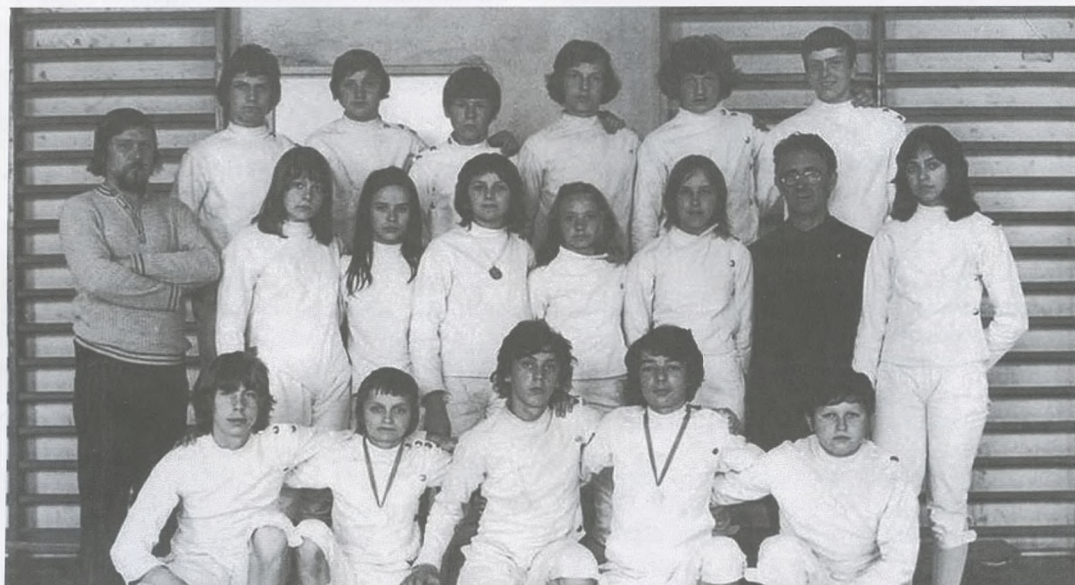
„100 lat przy Szkolnej”

**W 2016 roku mija 100 lat od powstania szkoły przy ul. Szkolnej 4 w Śremie. W ciągu wieku przechodziła wiele zmian. Struktura, nazwy, patroni... Szkoła nierozłącznie związana z miastem, szczególnie z jego prawobrzeżną częścią. W jej murach uczą się kolejne pokolenia. Niezwykły jubileusz to dobry powód do wspomnień. W cyklu artykułów przypominam nie tylko fakty historyczne. Przywołuję też osobiste wspominki. Mam ich wiele, jak każdy, kto do tej szkoły uczęszczał, w niej pracował...**

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Kolejny ciekawy, pełen zmian okres w życiu szkoły. Jak zawsze, wydarzenia związane z tym, co działo się w kraju. Sport stał się ikoną szkoły już w poprzedniej dekadzie, gdy powstały pierwsze

w Polsce klasy szermiercze, gdy szkoła odnosiła sukcesy także w wielu innych dyscyplinach. Szkoła bez boiska sportowego i własnej sali gimnastycznej... Dużym wydarzeniem było więc oddanie do użytku boiska. Uroczyste otwarcie miało miejsce 2 czerwca 1972 r. Lepsze warunki realizacji wychowania fizycznego i sportowych zajęć pozalekcyjnych ułatwiły osiąganie kolejnych sukcesów. Lekkoatletyka, koszykówka, piłka ręczna, piłka nożna, a także hokej na lodzie i łyżwiarstwo – sukcesy w zawodach powiatowych, okręgowych, wojewódzkich. Oczywiście szermierka – te dwie dekady to dla szkoły złoty okres tej dyscypliny. Uczniowie systematycznie, rok po roku, zdobywali medale nawet w Mistrzostwach Polski czy Ogólnopolskich Spartakiadach Młodzieży! Nadal jednak brakowało własnej sali

Szermierze. Tadeusz Mieloszyński i Stanisław Płociennik z podopiecznymi





# Wieści z ratusza

## Bezpłatna komunikacja miejska w Śremie

Gmina Śrem jest samorządem, który od 1 lipca 2016 r. oferuje mieszkańcom bezpłatną komunikację miejską. Pomysł bezpłatnej komunikacji nie jest nowy. W niewielu samorządach w Polsce funkcjonują już darmowe przejazdy dla mieszkańców. W miastach, które zdecydowały się na uruchomienie bezpłatnej komunikacji miejskiej liczba podróżujących zwiększyła się oraz sprzyja ograniczeniu ruchu pojazdów w mieście.

### Główne korzyści:

- Popularyzacja bezpłatnej formy transportu publicznego
- Ograniczenie ruchu pojazdów w mieście
- Jakość powietrza atmosferycznego
- Poprawa jakości oraz komfortu infrastruktury transportu publicznego
- Poprawa bezpieczeństwa na drodze

### Koszty komunikacji miejskiej

Na komunikację miejską gmina Śrem przeznacza rocznie 1,5-1,7 mln zł. Udział dochodów ze sprzedaży biletów w ogólnych kosztach utrzymania transportu publicznego nie jest duży. Największą grupę pasażerów Komunikacji Miejskiej w Śremie stanowią osoby (seniorzy, dzieci i młodzież szkolna, studenci do 26 roku życia) uprawnione do bezpłatnych i ulgowych przejazdów. Z ulg w opłatach za przejazdy korzysta ponad 70% pasażerów, dlatego zbędnym jest pobieranie opłat od pozostałej części pasażerów. Rekompensatę utraconych dochodów będzie stanowił obniżenie kosztów funkcjonowania komunikacji miejskiej oraz negocjacje z wybranym operatorem publicznego transportu zbiorowego.

O wprowadzeniu bezpłatnej komunikacji miejskiej na terenie gminy Śrem jednogłośnie zdecydowali radni Rady Miejskiej w Śremie

w dniu 28 kwietnia 2016 r. podejmując Uchwałę nr 206/XXI/2016 Rady Miejskiej.

## Główne zmiany w funkcjonowaniu komunikacji miejskiej w Śremie

Wprowadzenie bezpłatnej komunikacji dla mieszkańców wiąże się z istotną modyfikacją rozkładu jazdy oraz przebiegiem niektórych tras. Zmienione zostały trasy mało popularnych przejazdów oraz połączono część linii. Nieznacznie zmniejszy się liczba kursów autobusów. Od lipca 2016 r. autobusy komunikacji miejskiej będą funkcjonowały na 12 liniach. Nowością jest przystanek na linii nr 4 na Dworcu Autobusowym w Śremie, który docelowo ma się stać głównym centrum przesiadkowym łączącym komunikację miejską w Śremie oraz przewozy autobusowe PKS Poznań S.A.

### Nowy standard autobusów

Zwiększenie zainteresowania bezpłatnymi przejazdami na terenie gminy Śrem, ma poprawić także standard autobusów. Pasażerowie będą podróżować po ulicach autobusami klimatyzowanymi, w pełni dostosowanymi do osób niepełnosprawnych oraz wyposażonymi w systemy informacji pasażerskiej. Nowy rozkład jazdy dostępny jest w autobusach oraz na stronie internetowej [www.rozkladjazdy.srem.pl](http://www.rozkladjazdy.srem.pl)

## Odsłonięto pierwszy mural w Śremie

1 czerwca 2016 r. na bloku mieszkalcym przy ulicy Wojska Polskiego 14 odsłonięto mural „Listy-Powstaniec Wielkopolski”. Inicjatorem projektu jest Tomasz Żak radny Rady Miejskiej w Śremie. Podczas odsłonięcia muralu Burmistrz Śremu Adam Lewandowski zapowiedział powstanie kolejnych obrazów na budynkach w Śremie.

Murale były bardzo popularne szczególnie



w okresie PRL-u. Ekspozowane na budynkach publicznych stanowiły formę reklamy. Obecnie zmienił się charakter murali jako wielkoformatowych dzieł sztuki.

Pierwszy mural w Śremie „Listy-Powstaniec Wielkopolski” wkomponowany w blok przy ulicy Wojska Polskiego nawiązuje do zaangażowania i wysiłku mieszkańców regionu śremskiego w zwycięskim Powstaniu Wielkopolskim. Dzieło przedstawia postać dumnego Powstańca Wielkopolskiego oraz papierowe ptaki wykonane z listów patriotycznych, które są symbolem spełnionych marzeń Wielkopolan za wolną Ojczyzną.

Autorami obrazu są Marek Maksimovich oraz Bartek Wągrowski. Artystów na rusztowaniach wspierali: Siergiej Nowicki, Feliks Zozuliński, Jarosław Ptak, Anna Waluś oraz śremlanin Łukasz Burdajewicz. Przygotowanie obrazu na ścianie bloku zajęło artystom dwa tygodnie.

Podczas odsłonięcia z okazji Dnia Dziecka Śremski Ośrodek Kultury przygotował wiele atrakcji dla najmłodszych. Oprawę imprezy zapewnili artyści z poznańskiego Teatru Dada Art. Mural został namalowany w ciągu dwóch tygodni. W realizację pierwszego śremskiego muralu zaangażowało się wiele osób, firm oraz instytucji. Powstanie muralu zostało sfinansowane przez Śremskie TBS Sp. z o.o. Obraz stanowił formę odnowienia elewacji szczytu bloku mieszkalnego z lat dziewięćdziesiątych. Firma Ogrody Bugała pod czujnym okiem architekta krajobrazu Anny Smolarek-Kubisiak przeprojektowała osiedlową zieleni, tak aby komponowała się z olbrzymim dziełem sztuki. Dzięki uprzejmości kierownictwa artyści zatrzymali się w hotelu L'ascada. Rusztowania oraz kwestie logistyczne zapewniła firma p. Jarosława Śmiejczaka. Ekspresową dostawę farb do elewacji zabezpieczyła firma Kaim.

### Otwarcie placu zabaw w Jarzębince

30 maja w Przedszkolu nr 3 „Jarzębinka” odbyło się Święto Rodzinne pod hasłem „Z piratem dookoła świata”. Podczas imprezy dokonano uroczystego otwarcia nowych urządzeń rekreacyjnych.

Dyrektor Jolanta Ratajczak podziękowała wnioskodawcy panu Waldemarowi Bartkowi, oraz całej społeczności lokalnej za oddanie głosów w projekcie ogólnogminnym Budżetu Obywatelskiego w 2016 r. na Kreatywny plac zabaw oraz „Statek rybacki”, który powstał dzięki grantowi Fundacji Aviva „To dla mnie ważne”. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonały przedszkolaki w obecności zaproszonych gości - Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego oraz Barbary Jabłońskiej Naczelnika Pionu Edukacji i Usług Społecznych.

### Konkurs „najpiękniejszy list w gminie” rozstrzygnięty

W dniu 7 czerwca 2016 r. w Bibliotece Publicznej im. Heliodora Święcickiego w Śremie odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu „Najpiękniejszy List w Gminie”.

Spotkanie otworzył Bartosz Żeleźny – Z-ca Burmistrza Śremu, a poprowadziły: Katarzyna Bednarowicz – Naczelnik Pionu Gospodarowania Przestrzeni i Środowiskiem Urzędu

Miejskiego w Śremie oraz Małgorzata Borowska - inspektor Zespołu Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Śremie.

Konkurs Najpiękniejszy List w Gminie został ogłoszony przez Urząd Miejski w Śremie w ramach IV ogólnopolskiej akcji „Listy dla Ziemi” organizowanej przez Fundację Ekologiczną ARKA z Bielska-Białej. Akcja polegała na napisaniu w dniach 11-30 kwietnia 2016 r., przez uczniów szkół gimnazjalnych, podstawowych i przedszkoli, listów na wykonanym z makulatury papierze. W listach dzieci miały namawiać dorosłych do działań proekologicznych. Głównym tematem listów była problematyka związana z niską emisją.

W akcji zadeklarowało się wziąć udział 8 placówek oświatowych z terenu gminy Śrem. Każda miała wybrać 3 najładniejsze jej zdaniem listy napisane przez swoich podopiecznych i dostarczyć do 6 maja 2016 r. do Urzędu Miejskiego w Śremie.

Wśród prac znalazły się listy napisane przez uczniów oraz listy w postaci prac plastycznych wykonane przez przedszkolaków i uczniów kl. I. W związku z powyższym zaproponowano wyłonić jeden najładniejszy napisany list i jedną najładniejszą pracę plastyczną. Jury składające się z pracowników merytorycznych Urzędu Miejskiego w Śremie, dokonało oceny prac.

Największą ilość punktów za wykonanie pracy plastycznej, a tym samym Najpiękniejszego Listu w Gminie, zdobyła **Helenka Kielan** z Publicznej Szkoły Podstawowej w Śremie im. Kawalerów Orderu Uśmiechu.

Natomiast Najpiękniejszym napisanym Listem w Gminie okazał się list **Aleksandra Strugały**, również ucznia z Publicznej Szkoły Podstawowej w Śremie im. Kawalerów Orderu Uśmiechu.

Dla autorów wszystkich dostarczonych do Urzędu Miejskiego w Śremie listów przewidziano nagrody książkowe. Ponadto wszystkim uczestnikom IV ogólnopolskiej akcji „Listy dla Ziemi” postanowiono podarować symboliczny upominek.

### III wiosenny spacer gajowy

W sobotę, 4 czerwca 2016 r. na terenie

Międzygminnego Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt w Gaju odbył się III WIOSENNY SPACER GAJOWY połączony z otwarciem nowo wybudowanego Centrum Edukacji NA CZTERY ŁAPY w Międzygminnym Schronisku dla Bezdomnych Zwierząt w Gaju.

W spacerze wzięli udział miłośnicy czworonogów i przyjaciele Schroniska. Warunkiem uczestnictwa było towarzystwo własnego lub schroniskowego psa oraz uiszczenie opłaty za uczestnictwo w spacerze. Zebrane środki zostaną w całości przeznaczone na potrzeby Schroniska.

Uroczystego otwarcia budynku dokonał Adam Lewandowski Burmistrz Śremu w obecności zaproszonych gości – m.in. reprezentantów gmin uczestniczących w porozumieniu międzygminnym, z których bezdomne zwierzęta trafiają do Schroniska w Gaju. Nowy budynek będzie służył Schronisku jako obiekt do organizacji spotkań edukacyjnych z dziećmi i młodzieżą, mających na celu kształtowanie prawidłowych postaw i zachowań człowieka w stosunku do zwierząt oraz uświadamianie w zakresie obowiązków spoczywających na właścicielach i opiekunach zwierząt.

### 5. Mróz Śrem Półmaraton za nami

11 czerwca br. o godzinie 9:00 wystartował 5. Mróz Śrem Półmaraton. Na starcie stało się 514 biegaczy, a bieg ukończyło 513 osób.

Trasa półmaratonu śremskiego została wytyczona w lewobrzeżnej części Śremu oraz miejscowości Gaj, Krzyżanowo i Błociszewo. Zamyka się w jednej pętli.

Przed startem rozgrzewkę tradycyjnie przeprowadziły instruktorki Śremskiego Sportu. Tym razem pogoda pozwoliła uczestnikom na pobicie własnych rekordów. Złoto w klasyfikacji generalnej zdobyli mieszkańcy Ukrainy.

### Wyniki klasyfikacji generalnej:

#### Klasyfikacja mężczyzn:

1. OKSENIUK Sergii (Ukraina) 1:07:27
2. GRICAK Jurii (Ukraina) 1:07:29
3. SITKOVSKYY Oleksandr (Ukraina) 1:07:30

#### Klasyfikacja kobiet:

1. RYBALCHENKO Tetiana Kharkov (Ukraina) 01:21:42

2. PAPIEŻ Justyna (Polska) 01:23:24
3. PECHKO Hanna (Ukraina) 01:25:55

### **Klasyfikacja gminy Śrem:**

#### **Klasyfikacja mężczyzn:**

1. DZIECHCIOWSKI Jacek 01:18:48
2. KAMINIK Maciej 01:19:31
3. WAWRZYNKIEWICZ Jarosław 01:21:19

#### **Klasyfikacja kobiet:**

1. PETROCZKO Patrycja 01:39:47
2. SIKA Agnieszka 01:41:49
3. KOWALEWSKA Dominika 01:47:25

Sponsorem tytularnym biegu była firma **Mróz S.A. z Borku Wilk.** Kolejni sponsorzy to przedsiębiorstwa, których wsparcie jest bardzo ważne przy organizacji biegu: **TFP Grafika Sp. z o.o., Bejot Sp. z o.o., Duda Cars S.A.** Powiat Śremski udzielił pomocy finansowej w formie dotacji celowej w wysokości 10.000 zł. Ponadto bieg wsparło wiele firm z obszaru gminy Śrem, dzięki którym śremski półmaraton pozostaje miłym wspomnieniem dla uczestników.

5. Mróz Śrem Półmaraton zorganizowany został przez Śremski Sport Sp. z o.o. przy patronacie tytularnym gminy Śrem.

### **Mistrzostwo w Wielkopolskim Turnieju Orlika Inea Cup 2016 dla SP 6 w Śremie**

7 czerwca uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 6 w Śremie zostali zwycięzcami Wielkopolskiego Turnieju Orlika Inea Cup 2016.

Turniej został rozegrany w Poznaniu na stadionie Lecha. Drużyna podczas rozgrywek wygrała 4 mecze i jeden zremisowała. Podczas całego turnieju chłopcy strzelili 17 bramek tracąc zaledwie 3 bramki. W turnieju wzięło udział **539 drużyn**. Rozegrano 143 turnieje. **SP 6 Śrem** okazała się najlepszą drużyną w województwie wielkopolskim.

Skład mistrzowskiej drużyny śremskiej: **Hubert Osiewicz, Borys Boczar, Filip Wilkowski, Kuba Tomaszewski, Szymon Kędziora, Maks Hyżyk, Damian Koltański, Paweł Rubach, Mikołaj Urbanek, Kamil Chiliński, Bartek Kabaj i Michał Wojciechowski.**

13 czerwca br. w Bibliotece Publicznej w Śremie odbyło się spotkanie zwycięskiej drużyny

z Burmistrzem Śremu Adamem Lewandowskim. W spotkaniu uczestniczyli również: trener drużyny Sebastian Białobrzeski, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 6 im. Braci Barskich w Śremie Maciej Formaniak oraz Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych Barbara Jabłońska. Podczas spotkania władarz miasta wręczył młodym piłkarzom listy gratulacyjne oraz upominki. Chłopcy zdradzili swoje plany na przyszłość oraz opowiedzieli o wrażeniach z turnieju.

### **Samoobsługowe stacje naprawy rowerów już w Śremie**

W ramach kampanii Rowerowy Śrem na terenie Śremu powstały trzy samoobsługowe stacje naprawy rowerów. W Polsce stacje naprawy rowerów można spotkać w miastach z rozwiniętą infrastrukturą rowerową. Samoobsługowe stacje naprawy rowerów są ogólnodostępne i umożliwiają podstawowy serwis oraz regulację jednośladów szczególnie w dni wolne, popołudnia oraz święta, kiedy na drogach jest najwięcej miłośników jazdy rowerem.

Nowa infrastruktura rowerowa została zamontowana w Śremie przy najbardziej popularnych ciągach rowerowych:

- na drodze rowerowej przy ulicy Kilińskiego,
- w części rekreacyjnej Parku Śremskich Odlewników,
- przy parkingu rowerowym dla uczniów przy Szkole Podstawowej nr 6 im. Braci Barskich.

Samoobsługowe stacje naprawy rowerów powstały z myślą o mieszkańcach przemierzających jednośladami ulice Śremu, potrzebujących podstawowego serwisu oraz nie posiadających własnych narzędzi serwisowych do rowerów. Korzystanie ze stacji jest proste, dodatkowo obudowa stacji zawiera podstawowe wskazówki dotyczące korzystania z narzędzi. Ponadto rowerzyści posiadający smartphone przez skanowanie QRcode mogą skorzystać z instrukcji oraz poradników wideo np. regulacja hamulca, wymiana dętki, nastawienie przerutek.

Wszystkie stacje wyposażone zostały w solidną pompkę rowerową z adapterem umożliwiającym napompowanie wszelkich rodzajów kół rowerowych. Na stacji można skorzystać

z wysokiej jakości narzędzi rowerowych: klucze płaskie, szczypce, wkrętaki płaskie oraz krzyżowe, klucze nastawne, komplet imbusów oraz łyżki do wymiany przebitych dętek. Wszystkie narzędzia są trwale przymocowane stalową linką oraz zabezpieczone przed opadami deszczu oraz korozją. Na samoobsługowych stacjach naprawy rowerów dodatkowo został zamocowany stojak rowerowy oraz uchwyt serwisowy ułatwiające obsługę i serwis jednośladu. Inicjatywa została sfinansowana z budżetu gminy Śrem w ramach realizacji kampanii Rowerowy Śrem. Całkowity koszt 3 stacji rowerowych, przygotowania nawierzchni oraz montażu wynosił 27.999,72 zł brutto. Stacje dostarczyła i zamontowała wielkopolska firma iBOMBO z Leszna.

### **Tytuł mistrza polski szkół podstawowych w piłce nożnej dla SP 6**

17-19.06.2016 w Głucholazach odbył się Ogólnopolski Finał Mini Igrzysk Młodzieży Szkolnej w piłce nożnej. W Igrzyskach do walki stanęło dziewięć zespołów.

Drużyna z SP 6 po wielu trudnych rozgrywkach znalazła się w finale i walczyła o zwycięstwo z Bałtykiem Koszalin.

Na początku śremianie prowadzili 1:0, 2:1, 3:2 lecz przeciwnik doprowadził do remisu. Drużyna ze Śremu w karnych wygrała 4:1 i mogli zacząć świętować. Zawodnicy z SP nr 6 wygrali cały turniej (6 zwycięstw) i zdobyli tytuł MISTRZA POLSKI SZKÓŁ PODSTAWOWYCH W PIŁCE NOŻNEJ.

21 czerwca br. w Bibliotece Publicznej im. Heliodora Święcickiego w Śremie odbyło się spotkanie Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego ze zwycięzcami turnieju. W spotkaniu uczestniczyli również: trener drużyny Sebastian Białobrzęski, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 6 im. Braci Barskich w Śremie Maciej Formaniak oraz Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych Barbara Jabłońska.

Podczas spotkania władarz miasta wręczył młodemu piłkarzom listy gratulacyjne oraz piłki do piłki nożnej.

**Skład zwycięskiego zespołu:** Borys Boczar, Jakub Tomaszewski, Bartosz Kabaj, Hubert Osiewicz, Szymon Kędziora, Filip Wilkowski, Mikołaj Urbanek, Paweł Rubach, Michał

Wojciechowski, Maksymilian Hyżyk, Damian Kołtański, Kamil Chiliński.

**Nagrody indywidualne** otrzymali: Borys Boczar (najlepszy bramkarz) i Maksymilian Hyżyk (najlepszy zawodnik).

### **Ćwiczenia Gminnego Zespołu Zarządzania Kryzysowego w Słonecznej Gromadzie i Przedszkolu Jarzębinka**

21 czerwca br. w Przedszkolu nr 2 "Słoneczna Gromada" i 22 czerwca br. w Przedszkolu nr 3 Jarzębinka w Śremie miały miejsce Ćwiczenia Gminnego Zespołu Zarządzania Kryzysowego przy współpracy z Powiatową Strażą Pożarną w Śremie.

W ramach ćwiczeń o godzinie 9:30 w piwnicy budynku placówki wybuchł pożar. Wszystkie dzieci zostały natychmiast ewakuowane na zewnątrz przez pracowników przedszkola. Po 5 minutach od otrzymania wezwania do akcji wkroczyli strażacy, którzy sprawnie ugasili pożar wewnątrz budynku.

Po zakończeniu działań dzieci miały okazję wysłuchać prelekcji dotyczących bezpieczeństwa i funkcjonowania Straży Pożarnej oraz zasad bezpiecznego ruchu rowerem poprowadzonej przez Mariana Golińskiego Komendanta Straży Miejskiej w Śremie.

Działania nadzorowali Zastępca Burmistrza Śremu Bartosz Żeleźny oraz Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych Barbara Jabłońska

### **Tomaszek Wędrowniczek w Śremie**

Burmistrz Śremu Adam Lewandowski spotkał się z Tomaszem Pawłowskim. Znany jako „Tomaszek Wędrowniczek” pasjonata przemierza Polskę i spotyka się samorządowcami.

Miłośnik wszystkie wędrówki po samorządach skrupulatnie opisuje w swoich kronikach. Podczas wizyty w Śremie Tomasz Pawłowski drobiazgowo zaprezentował swoją znajomość historii śremskiego samorządu przybliżając poczet burmistrzów Śremu. Spotkanie zakończyła wspólna fotografia.

# Legiony.

## Ostatnia niedokończona powieść Henryka Sienkiewicza

---

Pisząc artykuły do „Gazety Śremskiej” o moim przodku Jędrzeju Dalekim, uczestniku wojen napoleońskich, staram się poszerzać swoje wiadomości o lekturę prac historycznych i beletrystycznych o tej epoce. Jako miłośniczka twórczości Henryka Sienkiewicza, miałam mu za złe, że pominął w swych dziełach udział Polaków w wojnach napoleońskich. Okazało się, że byłam w błędzie, co udowodniła mi dr Danuta Pługawko, podczas wykładu 5 maja w śremskiej Bibliotece Publicznej, w dniu 170. rocznicy urodzin Henryka Sienkiewicza. Dowiedziałam się, że Noblista od 1911 r. pracował nad powieścią o legionach gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Wybuch 1 sierpnia 1914 r. wojny światowej, wyjazd z kraju do Szwajcarii, kierowanie Generalnym Komitetem Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce i choroba sprawiły, że Pisarz dzieła tego nie dokończył. Śremska historyczka zachęciła mnie do lektury „Listów” Henryka Sienkiewicza, gdyż jak zapewniała, poznam wtedy szczegóły związane z jego pracą nad powieścią „Legiony”. Dziś pragnę podzielić się uzyskanymi informacjami z czytelnikami „Gazety Śremskiej”..

Z trzech i pół tysiąca opublikowanych listów, które Sienkiewicz napisał do 490 adresatów, najcenniejsze dla mnie okazały się te pisane do szwagierki Jadwigi z Szetkiewiczów Janczewskiej oraz do żony Marii z Babskich Sienkiewiczowej. W ich świetle zamiar napisania powieści o epoce napoleońskiej Sienkiewicz podjął już w 1895 r. Jednak najpierw stworzył „Quo vadis” (1896), „Krzyżaków” (1900) i „W pustyni

i w puszczy” (1911). Materiały do „Legionów” zaczął zbierać od wiosny 1911 r. Korzystał z pomocy wybitnych historyków lwowskich prof. Szymona Askenazego i jego ucznia prof. Adama Skałkowskiego.

Henryk Sienkiewicz zdawał sobie sprawę z ogromu zadań, które go czekały w pracy nad nową powieścią. Pisał o tym z Paryża 3 marca 1911 r. do żony Marii: *Myślę ze strachem o mnóstwie studiów i książkowych i geograficznych, jakie będą potrzebne do tej roboty. Ale rzecz może być niezmiernie poczytna. Podobno siedzi w tym Reymont, który jakoby wybiera się do północnych Włoch dla studiów. Ale on nie ma dość podstaw naukowych do zrobienia takich rzeczy ani umiejętności badania źródeł, której ja nabrałem przy pisaniu Trylogii. Będę miał zresztą do rozporządzenia Askenazego i Skałkowskiego, a to ułatwi mi niezmiernie robotę.*

Z komentarza do listu prof. Marii Bokszczanin wiemy, że Władysław Reymont napisał powieść, obejmującą okres wcześniejszy niż legiony J.H. Dąbrowskiego.

W liście z 5 kwietnia 1911 r. ze Szwajcarii, gdzie przebywał w uzdrowisku z córką Jadwigą, dla podratowania jej zdrowia, pisze: *Od Skałkowskiego miałem długi list z bibliografią co do Legionów i wypraw wojennych z 1798 i 1799 roku (wyprawa na Rzym i walki Masseny w Szwajcarii). Gdybym się czuł zupełnie zdrow, to odesławszy Małą do Paryża wracał stąd przez północne Włochy i zwiedził Turyn, Mediolan,*



Henryk Sienkiewicz z żoną Marią z Babskich Sienkiewiczową Vevey 1915 r.



Jadwiga z SzeŹkiewiczów Janczewska

*Weronę, Mantuę oraz okolice miast, przy których rozegrała się kampania włoska. Chcąc pisać o Legionach, trzeba umieć zdać sprawę z topografii kraju. Ale nie czuję się dostatecznie na siłach i nie mogę przerwać roboty. [...] Rękopisy i dokumenty od Skalkowskiego przyszły dziś do Akademii. Są między nimi unikatami do roku 1796, 7, 8, tak ważne, że waham się, czy ich nie zostawić w Akademii. Tu ma zbierać dla mnie materiały prof. Czubek i Kopera. – Dużo portretów, miniatur i listów jest także w Muzeum Czartoryskich. Ale ostatecznie wezmę się do tego chyba późną jesienią.*

O przygotowaniach do pisania Legionów informował także 14 października 1911 r. Jadwigę Janczewską, mieszkającą w Krakowie siostrę swojej pierwszej żony: *Mniej więcej za miesiąc wybieram się do Krakowa do Muzeum Czartoryskich i do dokumentów dotyczących się Legionów, które to dokumenty, dostarczone przez Skalkowskiego, zostawiłem w Akademii. Chcę opisać wojny włoskie Napoleona I, wyprawę na*

*San-Domingo, aż do Księstwa Warszawskiego i bitwy z Austriakami pod Raszyńem. Przedsięwzięcie duże, pracowite i trudne. Nie rozpocznę w żadnym razie powieści w druku przed przyszłym rokiem. Oczywiście dużo zależeć będzie od moich sił, zdrowia, czego nigdy nie można być zupełnie pewnym, albowiem jedno z najgłębszych przysłów narodowych mówi: „Człowiek jest jak stolarz: dziś jest, jutro go nie ma”.*

Henryk Sienkiewicz poświęcił – niestety bez większych rezultatów – wiele czasu poszukując pamiątek czy wspomnień z epoki napoleońskiej. Był także rozczarowany ówczesną beletrystyką na ten temat, czemu dał wyraz w liście z 30 listopada 1911 r. do żony: *W starych papierach nie znajduję pierwszorzędnego materiału. Wspomnień osobistych ciągle brak. Tylko to jest pewne, że w dotychczasowych powieściach o Legionach z 1797 są baliwerny (niedorzeczności –M.B.) wołające o pomstę do Boga. [...] W papierach nic*

*nie znajduję i jeśli nie odkryję jakichś nieznanych, a przydatnych dokumentów w Muzeum Czartoryskich – to wedle wtorku lub środy znajduję się w Warszawie.*

W liście pisanym z Krakowa 6 i 7 kwietnia 1913 r. pisał do żony: [...] Ja skończyłem *R[ozdział] IV* i przepisałem, a raczej przerobiłem to, co było napisane. Dziś to odczytałem. Jakie takie. Wszystko zależy od tego, co dalej wymyślę i jak się pomysły udadzą. Dnia 23 maja 1913 informował szwagierkę: *My wybieramy się do Radiooblęgorka w pierwszej połowie czerwca, tymczasem ja w Warszawie piszę i piszę. Namachałem już dla Tygodnika Ilustrowanego na jakie pół roku – i w danym razie mogę sobie pozwolić na przerwę. Następnie 18 sierpnia 1913 r.: [...] oddałem już Wolffowi pierwszą część powieści. Tytuł ogólny jest: „Legiony”. Pierwsza część nazywa się „WKraju”. Druga będzie „Pod Dąbrowskim” itd.*

Powieść „Legiony” publikowana była w „Tygodniku Ilustrowanym”, którego naczelnym redaktorem był Józef Adolf Wolff. Pierwsza część od 6 do 27 grudnia i od 3 stycznia do 25 kwietnia 1914 roku. W liście wysłanym 1 września 1913 r. z Oblęgorka do Jadwigi Janczewskiej, Sienkiewicz pisał: *List Twój odebrałem, ale tak spieszył z ukończeniem pierwszej części Legionów, że m zwłóczył dotychczas z odpowiedzią. Wczoraj właśnie wysłałem tę część pod adresem Wolffa do Warszawy, więc dziś siadam i odpisuję. [...] Polowania prawie nie ma, bo deszcze wytraciły łęgi kuropatwie – i na polach dotychczas miękko. Pogoda zresztą wciąż zła. Dzisiejszy pierwszy wrzesień wstał w chmurach. Mimo woli więc rozmyślałem o tym, od czego chciałbym się wstrzymać, tj. o Części II. Do pierwszej zabierałem się z niewielką chęcią, tylko z poczucia konieczności, że trzeba jednak pokazać, co i jak było w kraju. Ale po napisaniu spostrzegłem, że jest jednak niezła, że występuje dużo żywych figur – i że jako podstawa do dalszej kompozycji była niezbędna. W drugiej części będę we Włoszech – w zdobywaniu serc Italianek i fortec – a potem w ciągłych wojnach, czyli w żywiole, w którym chętniej się obracam.*

Druk części drugiej pt. „Pod Dąbrowskim”, rozpoczął się 2 maja 1914 roku. Czytelnicy

„Tygodnika Ilustrowanego” z entuzjazmem przyjmowali nowe odcinki powieści Sienkiewicza. Pisał o tym do szwagierki: *Nad „Legionami” siedzę i piszę. „Tygodnik” raduje się z nich bardzo. Widocznie przybywa mu prenumeratorów. Chwilami dziwię się, że się tak podobają.*

Absorbujące zaangażowanie Henryka Sienkiewicza w życie rodzinne i towarzyskie, działalność społeczna i polityczna oraz ciągle nękające go choroby opóźniały pracę pisarską. Sam krytycznie pisał do Janczewskiej 7 czerwca 1914 r.: [...] *Dawno zbierałem się napisać, ale po ukończeniu codziennej porcji „Legionów” opanowywa takie lenistwo, a nawet wstręt do pióra, że się odkłada i odkłada z dnia na dzień, a w ten sposób schodzą całe tygodnie. Nie dziw się, że czasem mam pióra dość. [...] A tymczasem trzeba pisać Legiony i pisać w sposób wesoły, młodzieńczy. Czasem idzie ciężko, z wolna, jednak żyję z przedmiotem, zajmuję się nim coraz bardziej i idzie, a mam nadzieję, że pójdzie coraz łatwiej. Gdybym mógł się oderwać od wszystkich trosk, spraw i nagabywań, a skupić się całkowicie i wyłącznie na robocie, czuję, że napisałbym bardzo porządną powieść. Ale dzięki głupocie i niedelikatności ludzkiej jest to niemożliwe.*

Część druga „Legionów” ukazywała się do 1 sierpnia 1914 r. Niestety, wybuch w tym dniu wojny światowej przerwał druk powieści i uniemożliwił także jej ukończenie. Henryk Sienkiewicz wraz z rodziną opuścił Oblęgorek w obawie przed działaniami wojennymi. Przez Kraków i Wiedeń, nie bez problemów, dostał się do Szwajcarii. Zamieszkał w miasteczku Vevey, gdzie zmarł 15 listopada 1916 r.

Pierwsze wydanie książkowe „Legionów” ukazało się w 1918 roku. Powieść tą wydawano jeszcze kilkakrotnie, ale niestety, nie znalazłem jej w bibliotece, ani w księgarniach. W internetowych antykwariatach przy zdjęciach okładki ostatniej powieści Henryka Sienkiewicza zamieszczone są informacje: produkt niedostępny, brak na półce, nie ma w magazynie. Zaoferowano mi jedynie formę elektroniczną – czyli ebooka.

Akcja pierwszej części „Legionów” pt. „WKraju”

kraju” rozgrywa się pod koniec XVIII wieku na ziemi łęczyckiej, pod zaborem pruskim. Bohaterami powieści są dwaj przyjaciele: Stanisław Cywiński – syn ubogiego leśnika i Marek Kwiatkowski – sierota pochodzący ze szlacheckiego rodu, nad którym opiekę sprawuje stryj szambelan. Poznajemy ich w momencie, kiedy postanawiają zaciągnąć się w szeregi wojska polskiego walczącego u boku armii generała Napoleona Bonaparte z Austriakami we Włoszech. Wcześniej, mimo młodego wieku, brali już udział w walkach podczas insurekcji kościuszkowskiej. O wstąpieniu młodzieńców do wojska decydowały względy patriotyczne, ale także sprawy sercowe i problemy rodzinne. Pisarz wprowadza różne postacie umiejscowione w rodzinach, grupach społecznych, poglądach na sprawy narodowe i wyrażające swój stosunek do władz zaborczych. Poznajemy weteranów powstania kościuszkowskiego, zwolenników Targowicy, przeciwników i entuzjastów tworzenia legionów, którzy wierzą głęboko, że w legionach we Włoszech „wcieliła się dusza narodu, który chce żyć i żyć będzie”. Oczywiście, nie może również zabraknąć w poczytnej powieści wątków romantycznych.

W tomie drugim „Legionów” Stanisław i Marek dotarli do Wenecji. Dowiedzieli się, że nie muszą się spieszyć do Imoli gdzie stacjonował sztab i szefowie batalionów, ponieważ został w 1797 r. zawarty pokój w Campo Formio z Austrią. Kilka dni poświęcili na zwiedzanie miasta, które ich zachwyciło, a także podziwiali wdziek pięknych Włosek. Przez Padwę i Weronę dotarli do sztabu legionów i zaciągnęli się w jego szeregi jako prości żołnierze, czym zyskali uznanie generała Dąbrowskiego. W końcu wyruszyli z batalionami na Rzym, po drodze – szczególnie Marek Kwiatkowski – stali się prawdziwymi wiarusami. W wojskach francuskich i polskich panowała bieda, a niewielki żołd był wypłacany z opóźnieniem. Żołnierze odziani w liche mundury i buty niejednokrotnie pożywiali się zeszlórocznymi, spleśniałymi kasztanami. Ale ducha dodawała im obietnica wypłaty żołdu w Rzymie i chęć zobaczenia wiecznego miasta, w którym nigdy jeszcze nie zatrzymało się wojsko polskie. *Wysoko na niebie zarysowały się kształty kopuły, jakby zawieszane nad ziemią, lekkie, strzeliste –*

*zarazem wielkie i wesołe, władne nad całą krainą jakąś radosną władzą, potężne a spokojne i ukojne, złane zaś w tak cudny i nieodzowny ład z okolicą – iż zdawało się, że wraz z nią wyszły one przed wiekami z rąk bożych. Na ten widok w pierwszych szeregach maszerującej kolumny podniosły się głosy i szły jak echo w głąb, i głębiej aż do ostatniego szeregu powtarzając dwa słowa: – Święty Piotr, święty Piotr! Od strony sztabu dano sygnał. Bataliony stanęły jak wkopane w ziemię. Wszystkie twarze zwróciły się ku kopule. Nastąpiła cisza i w tej ciszy, w porannych blaskach patrzyli ci polscy żołnierze znad Warty, Wisły, Niemna, Bugu i Dniestru na wielki, rzymski kościół świata.*

Tak kończą się „Legiony”. Autor planował kontynuowanie powieści do wydarzeń związanych z bitwą z Austriakami pod Raszynem w 1809 roku.

Mój przodek Jędrzej Daleki walczył w legionach gen. J.H. Dąbrowskiego już od roku 1806. Myślę, że gdyby wojna nie przerwała Henrykowi Sienkiewiczowi pisania dalszych odcinków „Legionów”, wykorzystałby także jego „Wspomnienia”, by stworzyć postać chłopaka z wielkopolskich Kołaczkowic. Jego pierwowzorem byłby praprapradziadek Jędrzej. Przecież pisarz w jednym z listów do żony ubolewał nad brakiem w archiwach „dokumentów osobistych”. Proszę Czytelnika o wybaczenie moich rozważań na temat „co by było...”, ale – tak mogłoby być!!!

Maria KONIECZNA

Korzystałam z: H. Sienkiewicz „Listy”, t. II cz.2 i t. IV cz.2 oprac. Maria Bokszczanin; H. Sienkiewicz „Legiony”; „Wikipedia” – Wolna Encyklopedia.

# Moje magiczne miejsca

---

W poprzednich artykułach zapraszałem Państwa do zwiedzania magicznych dla mnie miejsc. Po tych miejscach przez lata wędrowałem z moimi wychowankami ze szkół w Masłowie i SP nr 6. Z tych wędrówek zostały w pamięci wspomnienia, ciekawostki, barwne wydarzenia i właśnie nimi chcę się z Państwem podzielić. Ktoś kiedyś powiedział: chcesz poznać dziecko, zabierz je na wycieczkę, obóz i wtedy w ciągu kilku dni dowiesz się o dziecku więcej niż przez kilka miesięcy w szkole. Wtedy ujawniają się prawdziwe cechy charakteru, widzimy młodzież z innej strony, to wtedy zachowuje się ona naturalnie. Myślę, że ma na to wpływ specyfika wyjazdu, atmosfera, poczucie wspólnej więzi.

Teraz jako emeryt mogę powiedzieć, że lubiłem wyjazdy z młodzieżą, pochlebiam sobie, że oni również dobrze się czuli w moim towarzystwie. Mnie jako nauczyciela taki wyjazd, kontakt z młodzieżą w zupełnie innych warunkach pobudzał do refleksji, przemyśleń, z których na co dzień korzystałem w mojej pracy zawodowej.

Tym, którzy poznawali wraz ze mną różne regiony Polski, którzy maszerowali wiele kilometrów, nosili plecaki, namioty, często żywność, rozbijali obozy, szykowali posiłki, wzajemnie sobie pomagali, chcieli poznać Polskę w inny sposób dedykuję ten artykuł.

Jak napisałem wyżej te wyprawy obfitowały w różne ciekawe wydarzenia i nimi chcę się z Państwem podzielić. Jest to garść wspomnień, które utkwiły w mojej pamięci, nie są ułożone chronologicznie, a cechą je łączącą był fakt, że związane były z naszymi dziećmi.

Pierwsze wydarzenie, które szczególnie zapamiętałem związane było z moim synem. Byliśmy wtedy na wyprawie w Bieszczadach, a namioty mieliśmy rozbite u znajomych na łące w pobliżu Sanoka. Podczas wieczornego ogniska

powiedziałem, istnieje taka tradycja, że kto chce chodzić w Bieszczady musi przeskoczyć ognisko. Nie udawało się to Bartkowi, który miał wtedy 6 lat. Był bardzo zawiedziony, że nie mógł przeskoczyć. Następnego dnia rano gdy obudziłem się w namiocie, nie było w nim syna. Zdenerwowany wyskoczyłem z namiotu i zobaczyłem syna, że wspina się w kierunku wieczornego ogniska. Po pewnym czasie wrócił z zadowoloną miną, wtedy spytałem po co poszedł w miejsce ogniska. Odpowiedź brzmiała, że był przeskoczyć ognisko. Gdy powiedziałem, że było wygaszone usłyszałem, przecież nie mówiłeś, że ognisko musi się palić. Mogę tylko powiedzieć, że od tamtego wydarzenia minęły ponad trzy dekady, a my wspólnie przewędrowaliśmy całe Bieszczady wzdłuż i wszerz. Wspominam o tym, ponieważ jest to dla mnie bardzo miłe wspomnienie. Mam nadzieję, że syn się nie obrazi za upublicznienie wydarzenia z jego dzieciństwa.

Często podczas wyjazdu robiliśmy sobie żarty. Kiedyś wracając z południa Polski pociągiem, w pobliżu Kępna, otworzyłem okno i zacząłem, mówiąc kolokwialnie, wachać powietrze. Dzieciaki w przedziale patrzyły zdziwione co ja wyprawiam, a ja udając zdziwionego, pytałem nic nie czujecie. W końcu kazałem wciągnąć powietrze, spytałem naprawdę nic nie czujecie, w końcu padło pytanie, a co mamy czuć? Odpowiedź brzmiała, to przecież czuć Wielkopolskę. Od tego momentu to był nasz rytuał. Gdy wracaliśmy pociągiem przez Kępno, to pilnowali kiedy będzie Kępno, otwierano okno i czuliśmy Wielkopolskę. Jednego razu przysnęło mi się i obudził mnie zimny powiew powietrza, byłem rozespany i zrobiło mi się zimno, chciałem dać „oper” za otwieranie okna i wtedy usłyszałem, naprawdę pan nie czuje, to prosimy mocno wciągnąć powietrze, bo pachnie inaczej – Wielkopolską. Mimo późnej nocy mieli ogromną radość, że udało im się odegrać.



W czasie obozów bardzo często dopadała dzieci tęsknota, za rodzicami, domem. Objawiało się to bólem głowy, żołądka. Wtedy na tzw. chorobę wymyśliłem lekarstwo, taka osoba dostawała tabletkę, była to witamina C, którą trzeba było popić gorzką gorącą herbatą. Tłumaczyłem, że tabletką będzie działać tylko po wypiciu pełnej szklanki herbaty. Możecie Państwo wyobrazić sobie jakim poświęceniem było wypicie gorzkiej herbaty. Z reguły takie lekarstwo odwracało uwagę od wspomnień. Mogła to być jednak również prawdziwa choroba i wtedy gdy po godzinie nie przechodziło trzeba było skorzystać z pomocy lekarza.

Inne wydarzenie było związane z naszym udziałem w Rajdzie Bialskim, gdy wędrowaliśmy z Iglicznej na Czarną Górę – dzisiaj znany ośrodek narciarski, wtedy dziewiczy szczyt, przez który prowadziła droga do Kletna. Jest wczesne popołudnie wspaniałe widoki, a szczególnie widok na Śnieżnik, było co podziwiać. Nagle jeden z dzieciaków zatrzymał się, zaczął się rozglądać i głośno stwierdził: ale tu pięknie. Byłem kompletnie zaskoczony bo wcześniej nigdy nie ujawniał swojej wrażliwości

na piękno przyrody. Gdyby nie ta wędrowka, nigdy bym nie pomyślał, że dzieciak jest tak wrażliwy, odbierający w taki sposób otaczający świat. Po powrocie do szkoły, spytałem wychowawczynię, która znała go lepiej jaki jest w szkole. Okazało się, że jest zamknięty w sobie, niczym się nie wyróżnia. Powiem tak, to wydarzenie z rajdu pozwoliło dotrzeć do dziecka, zrozumieć jego niektóre zachowania.

W czasie wyjazdów zawsze zdarzają się jakieś problemy z jedzeniem. Mnie w pamięci utkwiły dwa takie wydarzenia. W czasie pobytu w Bielsku Białej w Beskidzie Śląskim, wracając kolejką z Szynieli zaplanowaliśmy obiad w barze pod Dębowcem. W jadłospisie zauważyłem stosunkowo tanią pieczeń z cielęciny z ziemniakami i mizerią. Zadowolony z ceny zamówiłem takie danie dla wszystkich. Zadowolony poszedłem uregulować rachunek, alarm podniosła pani kucharka, że uczestnicy nie jedzą obiadu. Rzeczywiście z talerzy zniknęły ziemniaki i mizeria, ale pozostało mięso, ani jeden kawałek nie został zjedzony. Strasznie się wściekłem i stwierdziłem, że następnego dnia zjemy tani obiad w barze mlecznym, co o dziwo

ucieszyło moje dzieci. Następnego dnia zaniósłem bardzo tanie danie, naleśniki z serem i cukrem. Ciekaw byłem reakcji, wszystkie naleśniki błyskawicznie zniknęły z talerzy. Spytałem się czy ktoś chce dokładkę, większość chciała, a po wyjściu z baru chwaliła sobie wspaniały obiad.

Choć przeważnie konsultowałem nasz jadłospis, to od tego momentu, gdy chciałem zamówić coś reszcie uczestników do jedzenia, konsultowałem czy zjedzą takie danie. Było to dla mnie bardzo ważne, bo jak ktoś nie jadł posiłku to dla mnie był to problem, bo nie wiadomo co się mogło wydarzyć.

Drugie wydarzenie miało miejsce podczas obozu w Nowym Gierałowie w Górach Białskich. Mieszkaliśmy w gospodarstwie agroturystycznym, gdzie posiłki szykowaliśmy sobie sami. Gospodarze zajmowali się hodowlą kóz, a pani gospodyni przyrządzała wspaniały ser, który zamawiałem na kolację. Gdy kanapki z serem błyskawicznie zniknęły z talerza, spytałem jak smakował ser. Reakcja dzieci ścięła mnie z nóg, od razu dowiedziałem się, że oni koziego sera nie lubią i więcej nie będą go jedli. Sytuację uratowała krowa, która pasła się za oknem. Błysnąłem wtedy refleksem, pokazałem na krowę i stwierdziłem, wy myślicie, że ja jadłbym kozi ser. Nasz ser jest od widocznej za oknem krowy, co uspokoiło moje dzieci. Przez cały okres jadali ser, który im bardzo smakował. Gdy kończyliśmy obóz stwierdziłem, jednak smakował Wam ten kozi ser. Początkowo nie chcieli wierzyć, a później było z tym wiele zabawy. Posiłki podczas wyjazdów to często był poważny problem. Dzieci miały własne nawyki,

nie smakowała im inna kuchnia, a gdy nie chcieli jeść ostatni argument z ich strony to taki, że mama gotuje inaczej. Dlatego gdy posiłki były zjadane to dla opiekuna była ważna sprawa, ale często wymagało to pewnych ustępstw. Ciekawostka: Jeden posiłek jedli wszyscy i to w dużych ilościach, to chleb z dżemem lub powidłami.

Zabawne wydarzenie przydarzyło się podczas biwaku w Wieszczyńcu. Nocowaliśmy w dworcu, w części która nie była zamieszkała. Była typowa jesienna pogoda, padał deszcz, wiał silny wiatr. Po zjedzeniu kolacji nigdzie ze względu na warunki atmosferyczne nie można było pójść. Siedzieliśmy w pokoju prowadząc rozmowę i nagle dziewczyny zobaczyły migające w oddali światło. To była widoczna z daleka lampa w znajdującym się na następnej morenie Rusocinie. Porywisty wiatr sprawił, że światło migało i znikło. Dziewczynki nie wiedziały, że przez okno widać dość odległą sąsiednią wieś. Żartowaliśmy co to może być. Wtedy powiedziałem, że mogę im opowiedzieć historię migającego światła za oknem. Wymyśliłem wtedy, że jest taka legenda, że kiedyś w przeszłości właściciel Wieszczyzna wracając w taką właśnie pogodę do domu, pobłądził i zamarzył na dworze. Od tego momentu w szczególnie deszczowe i wichrowe wieczory i noce wędruje po polach, żeby pomóc zbłąkanym wędrowcom. Jak to na biwaku porozmawialiśmy o różnych sprawach i poszliśmy spać. Nagle w nocy budzi mnie jedna z dziewczyn, wystraszyłem się, że coś się stało, a ona mówi, że musi iść do ubikacji. Nie bardzo rozumiałem dlaczego mnie budzi i wtedy usłyszałem, że boi się sama iść. Musze nadmienić, że z pokoju



trzeba było przejść przez kuchnię na korytarz, gdzie znajdowała się ubikacja. Podniosłem się ze śpiwora, wyprowadziłem ją na korytarz. Powiem Państwu, że nie wyobrażacie sobie co ja tej nocy przeżyłem, przez całą noc wędrowałem do ubikacji. Szanse na spanie były równe zeru. Rano byłem najbardziej niewyspaną osobą na biwaku. Taka mnie spotkała kara za żart i psikus, którego chciałem zrobić dziewczynom. Całe szczęście, że spaliśmy tam tylko jedną noc, bo rano mimo, że zapewniałem, że był to żart to nikt mi nie wierzył.

Zupełnie inne wydarzenie było związane z zieloną szkołą, którą zorganizowaliśmy nad Jeziorem Dolskim na Podrzekcie. Mielśmy problem z dziećmi, które wieczorem mimo nadzoru samodzielnie chodziły nad wodę. Było to niebezpieczne, bo były to dzieci z klas nauczania początkowego. Wtedy wymyśliłem bardzo dla nich wiarygodną opowieść. Wieczorem przy ognisku zacząłem opowieść, którą przerwałem stwierdzając, że nie będę ich straszył na noc. Oczywiście namawiali mnie żebym opowiedział im, zżerała ich ciekawość. Stwierdziłem, że muszę się zastanowić i może opowiem im rano. Od samego rana nie dawały mi spokoju, ja oczywiście się nie godziłem, aż w końcu powiedziałem im wieczorem, ale pod warunkiem, że nikt nie pójdzie sam nad wodę. Przez cały czas mieli wodę z głowy, bo pilnowali się sami, żeby dowiedzieć się co mam do powiedzenia. Wieczorem zebraliśmy ich na brzegu, poszliśmy na pomost. Upewniłem się czy naprawdę chcą usłyszeć opowieść i czy nie będą się bali. Oczywiście wszyscy chcieli usłyszeć co mam im do powiedzenia. Wtedy opowiedziałem im taką historię, dla uwiarygodnienia której wykorzystałem wędkarzy, z którymi wcześniej się umówiłem.

Jest taka legenda, że w jeziorze mieszka bardzo duża ryba, potwór, która może mieć 10 metrów długości. Panowie obecni na pomoście potwierdzili moją opowieść. Ale stwierdziłem, że nie muszę się martwić, bo w ciągu dnia nikt potwora nie widział, a często wieczorem widać go wśród fal. Jak się dobrze przyjrzeć to można wieczorną porą zobaczyć jego kształt w wodzie. Dzisiaj robimy hałas więc raczej nic nie będzie widać, ale mogą popatrzeć może będą mieć

szczęście i zarys ryby zobaczą. Proszę mi wierzyć sugestia zadziałała wszyscy widzieli potwora. Po zejściu z pomostu dyskusje trwały, aż do ciszy nocnej i jeszcze z namiotów było słychać wręcz kłótnie. Od tego dnia mieliśmy z dziećmi spokój, nikt nie próbował sam pójść nad wodę, a tym bardziej na pomost.

Najciekawszy był finał tego wydarzenia, kilka miesięcy później przyszedł do mnie ojciec jednego z dzieci z pytaniem. Przepraszam ja jestem z Dolska, słyszałem różne legendy o Dolsku, ale o potworze w jeziorze nigdy. I tak niespodziewanie kawał zrobiony dzieciom zaczął żyć własnym życiem.

Bardzo przyjemnie utkwilo w mej pamięci wydarzenie związane z udziałem w rowerowym rajdzie im. Dezyderego Chłapowskiego. Na ten rajd zabierałem zawsze czwarte klasy. Fajna wycieczka związana z historią naszego regionu w sam raz dla klas czwartych. W drodze powrotnej jechaliśmy obok kościoła w Błociszewie, gdy nie zatrzymaliśmy się rozległ się okrzyk: kościół. Stanęliśmy na poboczu i wtedy wytłumaczyłem, że kościół zwiedzimy podczas osobnej wycieczki.

Dla mnie najważniejszy był fakt, że dzieci same z własnej woli chciały zwiedzić kościół. Dla mnie było to największe osiągnięcie, które uważam za jeden z największych sukcesów w mojej pracy zawodowej.

Tym optymistycznym wydarzeniem chcę zakończyć moje wspomnienia o ciekawych wydarzeniach, które spotkały mnie na wędrownkach.

Zdzisław ŻELEŹNY  
fot. zbioru autora

# Szkoci w Polsce

## Wielonarodowa Wielkopolska

W proponowanym cyklu artykułów przedstawiono do tej pory: wyjątkowe zjawisko osadnictwa ołederskiego, tak charakterystycznego dla Wielkopolski od końca XVI do XIX w., złożoną historię wiecznie wędrujących, nigdzie niechcianych Cyganów – próbując znaleźć odpowiedź na pytanie dlaczego winniśmy ich nazywać Romami? Wreszcie kilka części poświęcono historii prawie 1000 lat obecności Żydów w Polsce ze zwróceniem uwagi na szczególnie wkład tej ludności do wspólnego dziedzictwa kultury polskiej oraz wiele słów poświęcono niełatwym relacjom obu narodowości. Tyle do tej pory. Czas na mały przerywnik w tej serii i opowieść o zdecydowanie mniejszym natężeniu dramatów międzyludzkich choć przecież każda decyzja o opuszczeniu stron rodzinnych jest zawsze złamaniem wielu wrażliwych strun w każdym życiorysie. Ale ta historia będzie dotyczyła niewielkiej grupy ludzi, którzy nigdy nie sprawili w Polsce specjalnego kłopotu – nie byli izolowani i zbyt mocno szukanowi chyba, że byli zbyt skąpi „jak to Szkoci”.

„Spotkałem wielu swoich rodaków – dzielnych, zamożnych kupców.

Gdziekolwiek zaszedłem, okazywali mi wiele życzliwości, a na odchodne polecali Bożej opiece”.

Zanotował **Szkot - William Lithgow** zwany Lugless Will w 1616 r. w trakcie swojej wędrówki przez Polskę

Trudno uwierzyć ale niemal codziennie z poznańskiego lotniska Ławica odlatują

samoloty wiozące pasażerów do szkockich miast Edynburga i Glasgow. Oczywiście wiemy, że od kilkunastu lat tysiące rodaków znalazło tam pracę i dobre życie. To oni wypełniają miejsca w tych samolotach podróżując pomiędzy dwoma światami – domem rodzinnym i miejscem, które dało im szansę. I tak wielu Polaków poznało Szkocję – urokliwą, górzystą krainę zamieszkałą przez dumnych ludzi władających „dziwnym językiem angielskim”. Pół biedy, gdy to tylko przemycane słowa w gaelic i inny akcent. Swoją kraj nazywają po celtycku *Alba*, i z trudnością akceptują, że są częścią składową Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii. Potocznie kojarzymy Szkocję z dudami, kraciastą spódniczką dla roślących facetów czyli kiltiem i dużo, czasem zbyt dużo, wiemy o Scotch Whisky. Znamy też dwa rywalizujące ze sobą kluby piłkarskie z Glasgow – Celtic i Rangers. Z uwagi na tak liczne w ostatnich latach kontakty Polacy poznali wiele szkockich miejscowości i wiedzą już, że Inverness to nie koniec świata, a także lokalne zwyczaje i zabytki, a wielu rodaków skosztowało haggis czyli owczego żołądka napelnionego mieszaniną posiekanych owczych podrobów. I pewnie nie zdajemy sobie sprawy, że były także takie czasy w historii, gdy Szkocja nie była wymarzoną miejscem dla jej mieszkańców, a także nie gwarantowała bezpieczeństwa.

Niezbyt żyzne góry i przeludnione wioski leżące w nizinach od wieków zmuszały Szkotów do emigracji. Emigrowali też często z przyczyn politycznych, niechętni angielskiej dominacji, prześladowani z powodów religijnych. Szkoci,

zwłaszcza bitni górale, zasilali oddziały najemników w całej Europie, a szkocka piechota zasłynęła swoją odwagą i była uznawana w wielu europejskich krajach za najlepszą wojskową formację. Szkoccy piechurzy byli także na polskich dworach magnackich a jednego z nich – Hasslinga–Ketlinga of Elgin Henryk Sienkiewicz umieścił wśród sympatycznych bohaterów swojej Trylogii. W 1603 roku Zygmunt III Waza mianował dożywotnio Abrahama Junga, dowódcę oddziału piechoty szkockiej, naczelnikiem wszystkich Szkotów w Polsce, wyposażając go w określone prawa administracyjne i sądownicze. Na służbie księcia Janusza Radziwiłła była kolonia Szkotów w Kiejdanach a w 1620 James Murray mianowany został budowniczym floty wojennej, która siedem lat później odniosła zwycięstwo nad Szwedami w bitwie pod Oliwą.<sup>1</sup> Bardzo często po zakończonej służbie kupowali oni w Polsce majątki i zamieniali się w farmerów lub zakładali kupieckie interesy.

Pierwsze kontakty Szkotów z Polską sięgają XV wieku, kiedy to m.in. dwóch studentów zapisało się (w 1438 i 1453) na Akademię Krakowską, a kupcy szkoccy prowadzili ożywiony handel z Gdańskiem – już w 1380 osiedliła się tu grupa Szkotów, na pamiątkę których jedna z dzielnic Gdańska nazywa się Nowe Szkoty. Warto wspomnieć, że James Kabrun (Cockburn), sfinansował budowę opery w tym mieście.<sup>2</sup>

Najliczniej Szkoci przybywali na tereny Rzeczypospolitej w wieku XVI i XVII tworząc dużą bo około 30 tysięczną społeczność – na tyle

dużą, że musieli być widoczni w wielu polskich miastach i miasteczkach. Największymi skupiskami były wówczas: Gdańsk, Poznań, Warszawa, Kraków, Lublin, Zamość i Lwów. Szacunkowa liczba jest jednak niedokładna ze względu na dużą ruchliwość szkockich kupców, których trudno było uchwycić w miejscu zamieszkania. Ich ilość znacznie wzrosła, i to do tego stopnia, że polscy królowie zezwolili na powstanie szkockiego samorządu. Początkowo przybywali oni nad Wisłę z przyczyn ekonomicznych, później chroniąc się przed prześladowaniami religijnymi i politycznymi (XVII w. to w Szkocji okres nieustannych wojen domowych, zaś Polska oferowała sporą, jak na tamte czasy, tolerancję). Większość parała się w nowej ojczyźnie drobnym handlem np. sprzedając jako domokrażczy tzw. towar szkocki, tj. art. żelazne rywalizując zawzięcie z wędrownymi żydowskimi handlarzami (zachowały się informacje, że oferowali towary dużo drożej niż konkurencja!!!).

Bogaci Szkoci szybko nabywali prawa miejskie i zajmowali wysokie miejsce w miejskiej hierarchii. Doskonałym przykładem jest Alexander Chalmers, który w XVII w. był czterokrotnym burmistrzem Warszawy ciesząc się powszechnym uznaniem. Jednym z kupców szkockich, który zrobił spektakularną karierę, był bez wątpienia Robert Wojciech Portius z Krosna. To on w połowie XVII w. całkowicie zmonopolizował handel węgierskim winem. Własnym kosztem odbudował i wyposażył po pożarze krośnieński kościół farny. Wybudował ponad 300 metrów nowych miejskich murów

<sup>1</sup> A. Biegańska, Żołnierze szkoccy w dawnej Rzeczypospolitej, „Studia i Materiały do Historii Wojskowości”, t. 27, 1984

<sup>2</sup> Guldon Z., Stępkowski L., Ludność szkocka i angielska w Polsce w połowie XVII w. [w:] Kwartalnik historii kultury materialnej 1982.

obronnych, wyremontował Bramę Węgierską i opłacił wiele inwestycji służących obronności miasta. Wśród polskich Szkotów, oprócz kupców, rzemieślników i wojskowych, spotykamy również ludzi wolnych zawodów: malarzy (John Gallison), pisarzy (Albert Ines, Andrew Loech, Lechowicz) i lekarzy (William Davison).<sup>3</sup>

Bez wątpienia najbardziej znanym Szkotem w Wielkopolsce był Jan Jonston (John Johnston, ur. 1603 w Szamotułach, zm. w 1675 w Składowicach k. Lubina), przyrodnik, historyk, pedagog i lekarz. Był synem szkockiego imigranta Simona Johnstona i Niemki Anny Becker. Od roku 1611 uczył się przez trzy lata w szkole braci czeskich w Ostrorogu, skąd przeniósł się do gimnazjum ewangelickiego w Bytomiu Odrzańskim. W latach 1623-1625 studiował w Szkocji na akademii w Saint Andrews język hebrajski, filozofię i teologię. W roku 1632 uzyskał doktorat z medycyny na uniwersytecie w Lejdzie. Powrócił do Leszna w 1632 roku i wkrótce został lekarzem wojewody Bogusława Leszczyńskiego oraz lekarzem miejskim. Jonston stworzył wybitne dzieła typu encyklopedycznego. Europejską sławę zyskał w dziedzinie entomologii, botaniki i ornitologii. Pomimo obcego pochodzenia, zawsze uważał się za Polaka. Pisał o sobie "Polonus" lub "Scoto-Polonus". Przyjaźnił się z Janem Amosem Komenskim (Comeniusem), przebywającym w tym czasie również w Lesznie. Zmarł w swoim majątku koło Lubina, jednak pogrzeb odbył się w Lesznie i tu znajduje się jego pomnik.

Kolejna szkocka fala osadnicza nastąpiła na pocz. XIX w. po wojnach napoleońskich, gdy gospodarka szkocka przeżywała głęboki kryzys. Szkoci znów zaczęli przybywać do Polski. Tym razem byli to specjaliści od nowoczesnych technologii, werbowani przez polskich ziemian, którzy od końca XVIII wieku pod wpływem przedstawicieli polskiego Oświecenia (Jan Śniadecki, ks. Adam Jerzy Czartoryski i in.) interesowali się szkocką nauką i filozofią, a nierzadko studiowali na Uniwersytecie Edynburskim. Inżynierowie, farmerzy, producenci tekstyliów, młynarze, metalurzy byli zapraszani do Polski.<sup>4</sup>

Niezwykłym przykładem takich działań jest historia sprowadzenia w latach 1815-1821 przez Ludwika Paca herbu Gozdawa – generała dywizji armii Księstwa Warszawskiego, senatora i wojewody – ponad 500 osobowej grupy farmerów szkockich, aby upowszechniali wśród miejscowej ludności nowoczesne techniki rolnicze i rzemieślnicze. Obok majątku w Dowspudzie koło Suwałk w woj. podlaskim osadnicy założyli nową wieś o nazwie Szkocja.

Pod kierunkiem szkockich mechaników uruchomiono też w Dowspudzie słynną fabrykę maszyn rolniczych. Była to trzecia tego rodzaju fabryka w kraju. Wielu szkockich farmerów pozostało w okolicy nawet po konfiskacie majątku Paca, a ich potomkowie żyją tu do dnia dzisiejszego. Na pamiątkę tej historii w ruinach pałacu, o którym opowiadano „wart Pac pałaca, a pałac Paca”, w miesiącach wakacyjnych odbywa się Festiwal Kultury

<sup>3</sup> M. Łaskiewicz, *Szkoci w nowożytnej Rzeczypospolitej*, <http://www.konflikty.pl/historia/nawozytnosc/szkoci-w-nowozytniej-rzeczypospolitej/>.

<sup>4</sup> na podstawie: S. Zabieglik, *Zarys historii Szkocji do końca XVIII w.*, (Gdańsk 1993)

Celtyckiej „Dowspuda”, impreza zainspirowana szkocką przeszłością hrabstwa Dowspuda.<sup>5</sup>

Wielu Szkotów osiedliło się w miastach Wielkopolski. W Borku pojawili się oni już w roku 1567 i zajmowali rzeźnictwem oraz piwowarstwem. Do Gostynia pierwszy przedstawiciel tej nacji zawitał w 1572 roku, a do końca wieku zamieszkało tam 20 rodzin szkockich. Zajmowali się początkowo drobnym handlem, po pewnym czasie dorabiali się majątków. Jungowie zostali jedną z najbogatszych rodzin mieszczańskich w Gostyniu. Poza Poznaniem, Szkoci wielkopolscy mieszkali także w Mosinie, Pleszewie, Buku i Gnieźnie. Znaczącą rolę odgrywała także gmina szkocka w Kleczewie, Koninie oraz w królewskim Kole. Zachowały się wzmianki o rodzinach: Morrisonów, Rossmetów, z którymi byli powiązani Rottermundowie a także Andrusów, Benetów, Gibbonów, Meltonów, Pekoków i Thomsonów. Z pobytem Szkotów w tych miejscowościach związana jest parafia Kościoła Ewangelicko-Reformowanego (kalwińskiego) w Żychlinie, do której przynależeli dawni mieszkańcy Konina i Kleczewa. Część z tych rodzin pozostawała w Koninie i okolicy przynajmniej do początków XVIII w. Inni emigrowali do innych miast, gdzie warunki egzystencji były bardziej korzystne, (np. Jarocin, Kobylin, Gostyń).<sup>6</sup>

W samym Poznaniu pojawili się w pierwszej połowie XVI wieku, za panowania Zygmunta I Starego. W kronikach miejskich wymienia się w tym czasie aż 62 poznańskich Szkotów. Bogatsi

byli, tak jak w innych regionach kraju, kupcami, którzy z łatwością zaklimatyzowali się w mieście, gorzej było z ich biedniejszymi rodakami. Oni z towarami na plecach chodzili od domu do domu, wystawiali swe towary na targach i jarmarkach, a także wyruszali do podpoznańskich wsi i miasteczek. Handlowali głównie niewyprawionymi skórkami zwierzęcymi, wełną, sukniem, wstążkami, nićmi, igłami i grzebieniami.<sup>7</sup>

Wielu Szkotów uległo asymilacji z Polakami, zawierając związki małżeńskie, stając się katolikami i z czasem zmieniając nazwiska. Tym sposobem Chalmers stał się Czamerem, a Cochrane Czochranem, Jackson Dziaksenem, Cockburn Kabronem, Macleod Machlejdem a Sinclair Szynklerem.

Dziś nie znajdziemy właściwie żadnych materialnych śladów pobytu Szkotów w Wielkopolsce. To co pozostało to nazwa wsi Szkocja koło Nakła oraz nazwiska, które intrygują. Być może wśród znajomych znamy kogoś o nazwisku Philips, Gordon lub Taylor? Dość kąśliwie mówi się o Poznaniakach, że są Szkotami, których wyrzucono z miasta za rozrzutność. Ale to jedyna złośliwość w tej historii.

Witold PRZEWOŹNY

<sup>5</sup> <http://www.dowspuda.artserwis.pl/>

<sup>6</sup> <http://poznanskihistorie.blogspot.com/2015/05/szkoci-w-poznaniu.html>

<sup>7</sup> L. Sieciechowiczowa, *Życie codzienne w renesansowym Poznaniu*, Warszawa 1974.



1. Poszukując Wiary, możesz trafić na Rozum.
2. Mówią : do trzech razy Sztuka.  
A po raz czwarty, to Arcydzielo ?



3. Lepszy nowy tyran, czy stary despota ?
4. Im dalej od źródła,  
tym woda  
bardziej mętna.
5. Mózg jest bardzo pojemny.  
Ale ma swoje granice.



6. Rozkoszujmy się,  
uczestnictwem  
w upływie czasu.
7. Dziadek. To mocno przerośnięty wnuczek.
8. Intuicjo, miej nas  
w swojej opiece !

# Byłam harcerką

## (jedno ze wspomnień sprzed 68 lat)

---

Nie wiem jak dziś przebiegają obozy harcerskie, jaki mają charakter, warunki, jakie stawiają sobie cele. Ja dobrze pamiętam jak wyglądał mój pierwszy wyjazd na obóz harcerski ze Śremu. Było to 4 lata po okrutnej II wojnie światowej. Czas wojny przeżyłam z Rodzicami: Teodozją i Janem Horowskim (profesorem śremskiego Gimnazjum) na wysiedleniu przez Niemców do Generalnej Guberni. Było to 5 lat poniżenia i ubóstwa!

Był lipiec 1949 roku – jestem znowu w Śremie i wyjeżdżam na obóz harcerski do Dusznik Zdroju. Będę pierwszy raz w górach! Jak byłam ubrana i wyposażona na tę wyprawę – widać na zdjęciu. Plecak parciany otoczony kocem, pod którym spałam, worek z żywnością i zamiast

manierki – kubek emaliowany. Białe kołnierzyk – czy miałam na zmianę?

Ze stacji PKP w Śremie wyjechaliśmy w bydłęcym wagonie. Otwarte były ogromne drzwi wagonu zabezpieczone do pewnej wysokości deskami. Myślę, że nie było żadnego okna – stąd „otwarte” drzwi wagonu...? Podłoga wagonu była wysłana słomą byśmy mogły usiąść.

Podróż trwała długo! Pociąg jechał wolno i często nasz wagon (a może 2) odstawiano na boczny tor...? Czy czas drogi umilały nam śpiewy – piosenki harcerskie? Nie pamiętam!

Duszniki Zdrój! Z dworca do miejsca zakwaterowania maszerowałyśmy czwórkami. Droga była długa, męcząca zwłaszcza jak



w ostatniej fazie szliśmy nieco pod górę, obciążone plecakiem.

Czy byliśmy rozczarowane piętrowym domem ze strychem, gdzie miałyśmy zamieszkać? Nie pamiętam. Były w nim częściowo wybite szyby...

Zapewne umyłyśmy się w strumieniu, jak później rano i wieczorem, bo wody w budynku chyba nie było. A WC? Nie pamiętam – pewnie wychodek na zewnątrz.

Wprowadzono nas do dużego pomieszczenia, gdzie leżał stos sienników, szarych, chyba z lnu. Żadnego taboretu, ławki nie było. Przed domem sterta słomy, którą napychałyśmy sienniki. Myślę, że niejedna rodzina długo po wojnie miała w łóżku siennik ze słomą. Moja rodzina na wysiedleniu też tak spała. Dziś kiedy każdy ma w domu materace lepsze lub gorsze nie potrafi sobie wyobrazić spania na sienniku ze słomą położonym na twardej podłodze.

Napychać słomą sienniki należało się nauczyć, jak sen miał być w miarę wygodny. Po jakimś czasie trzeba było słomę w sienniku poruszyć – przemieścić bo ulegała się w czasie spania. Sienniki w mojej sali układałyśmy jeden obok drugiego – może 15 szt. bez przejścia między nimi. Pamiętam, że dostałyśmy prześcieradła, czy koc był powleczone – nie pomnę.

Bielizna i rzeczy osobiste były w plecaku, który stał w nogach siennika. Nikt nie narzekał na takie

warunki. Nie było też światła, miałyśmy latarki...

Mycie poranne i wieczorne w strumieniu. Patrz zdjęcie! Czyżby był tylko jeden ręcznik? Woda lodowata jak w górskim potoku. Na zdjęciu z lewej strony nasza drużyna – Lidka Nowak ze Śremu. W białym kołnierzyku nad wodą – to ja.

Posiłki były nam podawane w pomieszczeniu jadalnym, na poddaszu (strychu), gdzie w czworokąt wstawione były długie, drewniane stoły i ławy. Czasem paliły się lampy naftowe w długie wieczory, bo była to i świetlica. Danie jakie pamiętam to małe pierożki z marmoladą. Zjadałyśmy je na wyścigi – która więcej...

Był to czas powojenny, a my roczniki wojenne, słabe, niedożywione – dostawałyśmy łyżkę lub odważniejsze więcej tranu. Podawano nam z dużego garnka na dworze, gdzie oczekiwaliśmy w kolejce. Tran dawany był nam na przerwach też w szkole.

Nie pamiętam byśmy grały w piłkę lub żeby obowiązywała poranna gimnastyka. Dzień spędzałyśmy raczej jak na koloniach, na których bywałam wcześniej. Zapewne dziś na obozach panuje dyscyplina, czas rozplanowany. Pamiętać należy, że opisuję lata po strasznej II wojnie światowej, jaką każda z nas miała w pamięci.

Nie pomnę ile nas było na obozie. Ja byłam najmłodsza – miałam 10 lat.

Czy organizowano nam ognisko? Raczej nie – bo





dom nasz był przy lesie. W późniejszych latach były ogniska z bogatym programem artystycznym, w którym zawsze brałam udział.

– To była jakaś rocznica, gdzie mówiłam na pamięć taką odezwę:

„Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia... Armia Polska przekroczyła Bug, Żołnierz Polski bije się na naszej ziemi ojczystej!!! itd.

Z obozu w Dusznikach Zdroju wspominam miło wieczorne apele, spuszczenie flagi z masztu – co śpiewaliśmy przy tym?

Najbardziej przeżywałyśmy modlitwę na zakończenie dnia. Było już mocno ciemno, żadnych lamp na drodze i u nas. W pierwszych dniach pobytu zostało przygotowane przez nas to miejsce na modlitwę. W ścianie zieleni nieduży krzyż z drzewa, a na ziemi – piasku z płaskich kamieni z potoku ułożyłyśmy krzyż harcerski. Modlitwa była śpiewana. Na krzewach wokół i w powietrzu świeciły robaczki świętojańskie. Nie

zobaczyłam już nigdy w swoim 77-letnim życiu takich obrazów.

Tyle wspomnień!

Jeśli żyje jeszcze któraś z harcerek i odnalazła się na zdjęciu – bardzo proszę o kontakt. Telefon w redakcji. Tę garść wspomnień daruję obecnym harcerkom, by poznały harcerstwo z lat powojennych. Wiem z opowiadań, że harcerstwo przedwojenne w Śremie było silne z pięknymi tradycjami, np. nagrodzona orkiestra harcerska. Pozdrawiam harcerskim CZUWAJ!

Maria HOROWSKA DROGOMIRECKA

fol. Jan Horowski

fol. zbory

# Sezon ogórkowy

## Nie samym chlebem

Kolega z pracy ma działkę, a na tej działce hoduje między innymi ogórki. Pogoda tego lata jest niemal tropikalna: upał na przemian z ulewą, nic więc dziwnego, że plon bogaty i do przejedzenia trudny. Zresztą każdy, kto spróbował swych sił w amatorskim ogrodnictwie, zrozumie klęskę nieprzemysłowego urodzaju, która kończy się rozdawnictwem. Dobrze, gdy krewni i znajomi nie wyhodowali akurat tego samego warzywa lub owocu i są chętni do skonsumowania nadwyżek. Kolega miał to szczęście. Jego dostawa ogórków przyniosła ogromne zadowolenie zespołowi współpracowników. Spalaszowaliśmy obrane, nieobrane, w całości i pokrojone – jak kto tam preferował. Pani Księgowa z uśmiechem zwróciła uwagę, że to „bezkarne” jedzenie, bo kalorii nie dostarcza. „Fakt” – odparłam. „Nie bez powodu to słynne danie nazywa się mizerią”. Wybac, Szanowny Czytelniku, że taką prywatę uprawiam na łamach poważnego czasopisma, lecz skromne, zielone warzywo plus gazeta niosą tylko jedno skojarzenie: sezon ogórkowy, czyli posucha na poważne tematy i urodzaj na banialuki. Gdy się bliżej zastanowić, określenie to, jak i samo zjawisko trącą już myszką, są w pewnym sensie „retro”. Dzisiaj życie nie zamiera wraz z nadejściem lata, przeciwnie odbywa się mnóstwo wydarzeń politycznych, sportowych i kulturalnych. Leniwa kanikuła odeszła do lamusa i dziennikarze wcale nie muszą zmyślać, by zapełnić łamy swoich dzienników, tygodników czy bardziej długodystansowych periodyków. Dzieje się tyle, że rozleniwiony letnik nie ma możliwości poczytać o bzdurach i odpuścić od natłoku ważnych informacji.

Jeszcze kilkanaście lat temu można było liczyć w

tym względzie na gazetę „Fakt”, relacjonującą na swych łamach, przez z górą tydzień, przygody wieloryba, który pojawił się w Zatoce Gdańskiej. Wieloryb ów – jak donosiła „poważna” gazeta – wpłynął do Wisły i, poruszając się pod prąd, dotarł do Torunia. „Jak wieloryb pokona zapórę we Włocławku?!” – zapytywała dramatycznie redakcja dziennika. Tam też sprawa przycichła, gdyż najwidoczniej redaktorowi prowadzącemu zabrakło inwencji, a i Włocławek – z całym szacunkiem – najbardziej medialny nie jest. Idźmy tropem zwierząt pływających pod wodą, bo – jak powszechnie wiadomo w sezonie pozawakacyjnym – wieloryb rybą nie jest.

*W żartobliwej mitologii drwali z Minnesoty i Wisconsin – pisze Jorge Luis Borges w swojej Zoologii fantastycznej – występują dziwaczne stwory, w których istnienie z pewnością nikt nie wierzył. (...) Spośród ryb z tych okolic znane są Upland Trouts (Latające Pstrągi). Wiją one gniazda na drzewach, znakomicie fruwać, boją się natomiast wody. Istnieje jeszcze Goofang, który pływa tyłem, żeby woda nie dostała mu się do oczu. Tych stworów z pewnością nie da się zjeść, trudno bowiem zarzucać wędkę na drzewo albo tyłem. Jednak rybkę złowić i zjeść potrafimy, pod warunkiem, że przy konsumpcji zachowamy ostrożność. Ostrzega nas przed nieumiarkowaniem Edward Lear, angielski mistrz nonsensu, w swoim limeryku:*

*There was an Old Man of the South,  
Who had an immoderate mouth;  
But in swallowing a dish,  
That was quite full of fish,  
He was choked, that Old Man of the South.*

W moim, swobodnym dość tłumaczeniu, brzmi to:

Był sobie gościu z Zagłębia,  
O niewstrzemięźliwej gębie.  
Na raz łyknął danie  
Rybne wprost niesłuchanie  
I zakrztusił się gościu z Zagłębia.

Ponieważ Edward Lear (1812-1888) jest postacią dość znaczącą w literaturze, zupełnie nieogórkowo odrobinę go przybliżę. Warto zwrócić uwagę na trzy ósemki w roku śmierci i ostatecznie stwierdzić, że kumulacja ósemek nie każdemu przynosi szczęście. Wracając do krótkiego biogramu twórcy, urodził się w Londynie. Był najmłodszym z dwunastu dzieci maklera giełdowego. Pracował jako rysownik zwierząt, dopóki nie wziął go pod swoje skrzydła hrabia Derby. To właśnie dla dzieci hrabiego napisał w 1845 roku swoją *Księgę nonsensu*, będącą kompilacją jego limeryków i ilustracji (z tej *Księgi...* cytuję). Podróżował i publikował we Włoszech, Albanii, Dalmacji, Kalabrii i na Korsyce. Żarty Leara wyszły drukiem również w Egipcie, Ziemi Świętej, Grecji i w Indiach. Jego zmyślnie strofy często miały melancholijny podtekst, na co wpływ mieć mogły jego epilepsja i skłonność do depresji. Zmarł w San Remo, dowodząc swoim, wcale nie krótkim życiem, że człowiek umie i powinien śmiać się mimo, na przekór, wbrew...

A już na pewno podczas niewinnej kanikuły.  
*There was an Old Person from Rheims,  
Who was troubled with horrible dreams;  
So, to keep him awake.*

*They fed him a cake,  
Which amused that Old Person of Rheims.*

W wolnym tłumaczeniu:  
Był stary człowiek z Bydgoszczy  
Dręczony przez koszmar nocny.  
Karmili go więc owsianką,  
By nie przedłużać spanka.  
Śmieszyło to starca z Bydgoszczy.

Abstrahując od letniego wypoczynku, to wcale nieza rozrywka intelektualna przełożyć na ojczyzny język ideę angielskiego nonsensu. Mistrzem w tej dziedzinie był także Aleksander Milne, autor przesławnego *Kubusia Puchatka*, która to książka dla dzieci w obowiązującym tłumaczeniu Ireny Tuwim jakoś nie daje satysfakcji literackiej. Pamiętam, że czytając ten tekst swojemu synkowi, modyfikowałam go na bieżąco, by osiągnąć jakiś rytm. Pamiętając o wakacjach, rezygnuję z pogłębionej krytyki, bo ze mnie tłumacz dość marny. Choć, ku rozrywce translacyjnej, proponuję zabawę z kolejnym limerykiem Edwarda Leara:

*There was an Old Man of Leghorn,  
The smallest that ever was born;  
But quickly snapped up he  
Was once by a puppy,  
Who devoured that Old Man of Leghorn.*

I moja – proszę, krytykuj twórczo, Czytelniku – propozycja przekładu:

Był raz staruszek z Łodzi,  
Najmniejszy, jaki się urodził.  
Lecz szybko tak się stało,



Rys. Edwarda Leara

Że szczeniak zwęszył go.  
I zjadł staruszka z Łodzi.

Odnoszę wrażenie, że limeryki są gatunkiem przez nas zaniedbywanym, a nawet pomijanym. Być może nasza słowiańska dusza nie jest zdolna do tego rodzaju absurdu. Brytyjczycy przeciwnie, cenią gatunek do tego stopnia, że w kryminalnej powieści Dorothy Sayers *Morderstwo wymaga reklamy* (*Murder Must Advertise*, 1933) niepoślednie miejsce w agencji reklamowej zajmuje właśnie najemna autorka limeryków, która ma inteligencję, natomiast żadnych związków z dokonaną zbrodnią. Nawiasem mówiąc, Dorothy Sayers, intelektualistka, feministka i autorka kryminałów, nie była w stanie pokonać królowej gatunku – Agathy Christie, a jej lord Peter Wimsey – główny deszyfrator zagadek – ledwo sięgał pięt nobliwej Miss Marple czy niepokonanemu belgijskiemu detektywowi o niezwykle obco brzmiącym dla wyspiarzy nazwisku: Hercule Poirot. Być może z tej przyczyny Dorothy Sayers nie jest w naszym kraju zbyt popularna.

A propos zagadek kryminalnych, jedna autorstwa duetu Słonimski-Tuwin:

*Rozrywki umysłowe. Kontredans szpitalny*  
W jednej z sal szpitalnych leżą pp. Żółtaszek,  
Czerwonkiewicz, Szkarłacki, Czarniawski,  
Biały i Grycendler, przy czym Żółtaszek ma  
czerwonkę, Czerwonkiewicz żółtaczkę,

*Szkarłacki czarną ospę, Czarniawski  
szkarlatynę, Biały białko, a Grycendler jest  
wariat. Wszyscy mają wysoką temperaturę i  
dreszcze, wszystkich gorączka miota do tego  
stopnia, że ich przerzuca z łóżka do łóżka – i w ten  
sposób zarażają się stopniowo wszystkimi  
chorobami. Pośrodku sali jest otwarte okno, obok  
którego przelatuje każdy chory, zmieniając łóżko.  
Kiedy wszyscy zwariują, a Grycendler wyskoczy  
przez okno?*

Wróćmy jednak do wakacyjnego absurdu i jego przekładu. Powszechnie wiadomo, że dobrym tłumaczem nie jest ten, kto zna język oryginału, lecz ten, kto perfekcyjnie zna język, na który oryginał się tłumaczy. Wkraczam nie dość, że na doskonałą znajomość języka polskiego, czego nie ośmielę się sobie przypisać, to jeszcze na swobodne poruszanie się w obszarze rodzimego nonsensu z wysokiej półki, co, choć z urlopem związane, nie do końca można nazwać prostym. Dlatego – powyżej i poniżej – przytaczam próby najlepszych.

Sławomir Mrozek, „Postępowiec” nr 36:  
*Z prac prehistoryków*  
*Spór trwa*

*Uwagę czytelników bieżącej prasy naukowej  
przykuwa dyskusja tocząca się między  
profesorem Padalcem a profesorem Pyziem.  
Tematem sporu jest znaleziony w jaskini  
Odrowąża prehistoryczny napis „Pocałuj mnie w  
grząśł”. Profesor Padalec uważa, że  
Grząśł oznacza ptaka wodnego, dzisiaj już*



Rys. Edwarda Leara

*zaginionego, niezwykle płochliwego. Stąd zdanie: „pocałuj mnie w grząśl” jest według Padalca rodzajem ironicznej metafory na oznaczenie niemożliwości lub małego prawdopodobieństwa. Profesor Pyzio natomiast obstaje przy tezie, że całe zdanie wywodzi się z obrzędów sakralnych.*

I jeszcze, z „diedziny ogrodnictwa”, która sprowokowała mnie do krótkiego przeglądu ulubionych nonsensów.

Sławomir Mrozek, „Postępowiec” nr 49:  
*Szkodnik*

*Inną wiadomość, również z dziedziny ogrodnictwa, przysyłają nam nasi korespondenci z Nabaniowic. Ujęto tam niejakiego Z., pracownika ogrodów państwowych. Znajdując się w stanie nietrzeźwym, Z. chodził po inspektach i zapylał kwiaty. Dzięki temu powstały zdegenerowane odmiany, co narażało skarb państwa na znaczne straty.*

Cytuję książkę pod tytułem *Księga parodii*, wydanie z 1986 roku. W niej, zaskakujący wiersz Ludwika Jerzego Kerna *Psepis na wiel dla dzieci* (początkowy fragment):

*Najpielw, płosę państwa, się bieże  
Jakieś intelesujące zwiezę.  
Zwiezę zdłowe,  
Świeze,  
Zwiezę pielwsego soltu (!),  
W ostatečnosti może być klajowe,*



Rys. Edwarda Leara

*Chociaz osobiście ładę lacej z impoltu.  
(...)*

Ten utwór najzwyczajniej w świecie nie ma puenty.

Podobnie jak limeryk Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, co akurat przeczy mojej niedawnej tezie, że my zupełnie ignorujemy tę króciutką formę literacką:

*Był członek związku szoferów  
Nieprawdopodobny nierób:  
Godzina za godziną  
Grał w oko i w domino  
I wcale nie woził pasażerów.  
Wiadomo! Miał wakacje!*

Ty, Szanowny Czytelniku, mam nadzieję, też masz wakacje i z ulgą przyjmiesz fakt, że literatura to nie tylko *Zbrodnia i kara*, *Zaorany ugór* czy *W poszukiwaniu straconego czasu* (tym akurat na wczasach w ogóle nie należy się zajmować), ale też podkasana – jak to mówią – muza, której inspiracji ulegali najlepsi. Na zakończenie wracam, razem z Borgesem, do drwali z Wisconsin – czy to o nich słynna piosenka Monty Pythona *The Lumberjack Song*? W ich legendach istnieje też ptak, który buduje gniazdo dnem do góry, a fruwa do tyłu, bo nie ma dla niego znaczenia, dokąd leci, tylko gdzie był.

Katarzyna GWINCIŃSKA

# Kate Atkinson. Życie po życiu

---

## Z górnej półki

Ile razy zdarzyło się Wam pomyśleć – gdybym tylko wyszła z domu później... Godzinę wcześniej... Nie poszła tą drogą... Nie pojechała /pojechała na tę konferencję/obóz... Moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej! Czasami myślimy tak z ulgą, a czasami – wręcz przeciwnie. Taka gra w "co by było gdyby" musiała podobać się także popularnej brytyjskiej pisarce Kate Atkinson, bo uczyniła ją osią swojej ostatniej powieści „Jej wszystkie życia”. Bohaterką tej dużej, bo liczącej ponad pięćset stron powieści, jest Ursula Todd, urodzona przed I wojną w wielodzietnej, ziemiańskiej rodzinie, zamieszkującej piękną wiktoriańską posiadłość pod Londynem. Od początku matce Ursuli wydaje się, że dziewczynka jest „jakaś inna”. Jakby kryła w sobie wiele niespodziewanych doświadczeń. Taka newage'owa „stara dusza”.

Czytelnika, pochłoniętego niezwykle interesującą historią rodziny, opowiadaną początkowo z perspektywy matki, później samej Ursuli, bardzo szybko spotyka straszne rozczarowanie – mniej więcej na trzydziestej stronie bohaterka umiera, historia się kończy. No nieeee! – krzyczy sfrustrowana czytelniczka. O co tu do diabła chodzi?!... Ale za chwilę okazuje się, że opowieść startuje od nowa, od tego właśnie momentu, który spowodował lawinę wydarzeń

zakończonych tragedią. Bohaterka lub jej matka, czy też ktoś z otoczenia, tylko nieznacznie zmieniają przysłowiową trasę, podejmują odrobinę inną decyzję... i znowu historia toczy się wartko aż do kolejnego (niestety niekoniecznie lepszego) rozwiązania. I tak kilka razy. Za każdym, Kate Atkinson doprowadza nas do skrzyżowania, na którym bohaterka podejmuje brzemienne w skutki decyzję albo zmienia się splot okoliczności, a kolejne z „żyć” się zaczyna.

Jeśli widzieliście kiedyś niemiecki film Toma Tykwera „Biegnij, Lola, biegnij!” z Franką Potente, to wiecie, o czym mówię.

Wbrew pozorom, czytelnik łatwo przyzwyczaja się do tego rodzaju „urwanej” narracji, gdyż opowieść jest bardzo ciekawa. Historia powtarza się, ale zawsze w trochę innej optyce. Niewyczerpana inwencja twórcza autorki sprawia, że następne, „poprawione”, życie Ursuli staje się jeszcze bardziej interesujące. Głównie dlatego, że w tle dzieje się historia kontynentu – najpierw pierwsza wojna, z jej wszystkimi społecznymi konsekwencjami, w tym emancypacją kobiet. Później zaś lata trzydzieste i narodziny faszyzmu, które Urszula ogląda z bliska, jako angielska żona niemieckiego

prawnika i koleżanka... Ewy Braun. Potem znów wojna, w której kolejne wcielenia panny Todd przeżywają a to horror walk o Berlin w 1945 roku, a to bombardowanie Londynu w latach czterdziestych.

Historyczno-społeczne wątki mocno osadzają książkę w kontekście europejskim. Wprawdzie punkt widzenia siłą rzeczy pozostaje brytyjski, jednak historia wielu wersji życia Ursuli, pokazuje wszelkie możliwe uwikłania, które były i są udziałem nas – Europejczyków. W tym sensie ta fascynująca powieść jest niezwykle współczesna. Zalecałabym jej przeczytanie angielskim zwolennikom *splendid isolation*, a także tym z mieszkańców kontynentu, którym wydaje się, że Europa jest pozbawionym treści sztucznym konstruktem, a wszyscy możemy sobie bez zaangażowania spokojnie na wsi wesołej żyć. Brytyjska autorka doskonale pokazuje, że tak na pewno nie jest.

Moja przygoda z Kate Atkinson zaczęła się jakiś rok temu, od świetnie napisanych i przetłumaczonych powieści kryminalnych. Rozbudowana warstwa obyczajowa tych utworów, sytuuje pisarkę w kręgu literatury zdecydowanie nie rozrywkowej, chociaż prozę tę znakomicie się czyta, a meandrująca akcja

kryminalna bywa naprawdę inteligentnie skonstruowana.

„Jej wszystkie życia”, książka *de facto* historyczna, która w 2013 otrzymała w Wielkiej Brytanii prestiżową nagrodę literacką *Costa Book Awards*, stanowczo potwierdza epicki talent Kate Atkinson. I zabiera nas w niezłą filozoficzną jazdę bez trzymanki.

J.A

„Jej wszystkie życia”, tak jak i inne powieści Kate Atkinson w przekładzie Aleksandry Wolnickiej, ukazują się w Wydawnictwie Czarna Owca.

# KWESTIONARIUSZ KULTURY



rys. U. Łukomska

## Szymon Józef (po dziadku) Majewski.

Urodzony w Śremie w 1977 r. Śremianin. Zaczął studia w Poznaniu, a skończył w Kaliszu. Kawaler. Prawo jazdy kat. B – zakurzone. Jedno dziecko, jeden pies, jeden kanarek. One Love.

Służba wojskowa – brak (ale w razie wojny kat. A).

### 1 Kim jestem...

Obecnie?... Sprawnym inaczej.

### 2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Dziecko. Choć to nie osiągnięcie, ale dziecko.

### 3 W czym jestem dobry...

Chyba nikt mi jeszcze nie powiedział.

### 4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Nie wiem ale czasem coś czuję... nie umiem dziś nazwać.

### 5 Co chcę w sobie zmienić...

Chcieć to móc, a ja nie mogę bo nie wiem co.

### 6 Co daje mi szczęście...

Rower, bo gdzie ja dzięki niemu mogę dotrzeć.

### 7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Marzec 2008, ale nie pamiętam dokładnie.

### 8 Uprzejmiej przyjaciel najbardziej cenię...

Szczerość.

### 9 Bohaterstwo to dla mnie...

Mieć fajną wizję i mimo wielu przeciwności, ciągle ją realizować.

### 10 Epoka w której chciałbym żyć...

Teraz mi dobrze.

### 11 Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Utrata członka rodziny.

### 12 Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Materialnie? Dom, samochód, wózek...

### 13 Moja największa wada...

Lenistwo i brak sumienia.

### 14 Główna cecha charakteru...

Uparty, ale czasem upór może być pozytywny.

### 15 Moje motto życiowe

'PUNKS NOT DEAD'...

### 16 Ulubiony dźwięk...

...cisza...

### 17 Dźwięk, który mnie denerwuje...

Krzyk.

**18 Nie mógłbym żyć...**

Bez nałogów – nie lubię, gdy coś wygrywa z moją wolną wolą, a czymś takim jest cukier...

**19 Co wzbudza we mnie lęk...**

Przemoc.

**20 Moje ukryte marzenie...**

Czyli nie powiem...

**21 Dar natury, który chciałbym posiadać...**

Magia, która działa tylko na mnie.

**22 Zawsze śmiesz mnie...**

Absurdalne poczucie humoru typu Monty Phytton, za chwilę dalszy ciąg programu, czy mało znany serial 'ON THE AIR'...

**23 Słowo, którego nadużywam...**

Czy jest takie? Może ktoś wie, niech powie. Śmiało.

**24 Zdanie o mnie, które zapamiętałem...**

Póki co nie zapamiętałem.

**25 Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...**

Po dolinach przychodzą zawsze góry.

**26 Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...**

Czas leczy rany. Wybaczę.

**27 Wolność to dla mnie...**

Synonimem jest dla mnie autostop lat 90. Zero komórek.

**28 Kim chciałbym być, gdybym nie był tym kim jestem...**

Chyba nikim innym, bo nie poznałem takiego żywota, co by mnie zainspirowało...

**29 Obecny stan mojego umysłu...**

Zadawalający mnie.

**30 Kim chcę zostać w pamięci innych ...**

Po mojej śmierci mogą o mnie zapomnieć. Liczą się czyny.

**NIGDY BYM SOBIE NIE ZADAŁ TAKICH PYTAŃ. DZIĘKUJĘ**

# NASZTALENT : OLGA : GARSTKA



## OLGA GARSTKA

*Rocznik 1999. Zodiakalny Byk. Uczennica II klasy śremskiego LO. Absolwentka Szkoły Muzycznej (w klasie fortepianu) w KCEK w Śremie. Mieszka w Szymanowie. Zwycięzczyni 11 edycji programu Must Be The Music.*

8000 fanów na FB. Ponad 230000 odsłonek utworu „Samozapłon” na YouTube... i tylko 17 lat... Sama pisze teksty (po polsku !!), sama komponuje muzykę... i sama śpiewa - akompaniując sobie na fortepianie....

Autorski utwór „Koniec świata” wzbudził zachwyt jury MBM i widzów oglądających półfinał programu, a wykonanie utworu „Samozapłon” w finale przyniosło jej zwycięstwo.

„Garstka Nieba” – określenie Elżbiety Zapendowskiej towarzyszyło jej przez cały program i długo po nim. Oszałamiający sukces, tysiące wielbicieli, setki doradców.... I ona... 17 letnia wokalistka – skromna, spokojna, opanowana, trochę wycofana, nad wiek dojrzała... doskonale wiedząca czego chce a czego nie..

A więc płyta.. na razie nie...” bo za wcześniej, za szybko, jeszcze nie teraz”- trzeba dopracować repertuar, trochę nabrać do tego wszystkiego dystansu.

Kariera... - „jaka kariera?”- na razie szkoła a w zasadzie dwie szkoły, rodzina...tak, tak, bo to rodzice i rodzina są dla niej na razie najważniejsi. To oni są pierwszymi odbiorcami (a czasem krytykami). To w domu – w Szymanowie czuje się najlepiej i najbezpieczniej. Tu pisze, komponuje, myśli, odpoczywa. Czasem odwiedza pracownię rzeźbiarską Taty.

Swoją przygodę z muzyką zaczęła dawno (choćbyś czasem żałuje, że nie wcześniej) – od pogrywania na keyboardzie. Potem już szkoła muzyczna... i pierwsze kompozycje. Aż wierzyć się nie chce, ale „Samozapłon” napisała mając lat 14.

Na razie nie wyobraża sobie współpracy z kimkolwiek – na razie po prostu nie potrafi, ale nie wyklucza, tym bardziej że na horyzoncie



pojawił się ktoś, z kim próbuje współpracować... ale na efekty trzeba będzie trochę poczekać.

Po tym szalonym okresie popularności, zamieszania, zgiełku Olga chce trochę „uspokoić” życie, może poczytać (o tym marzy od dawna, ale ciągle brakowało czasu), mieć czas na posłuchanie ulubionych – Toma Odella, SoKo, Czesława Mozila, Domowych Melodii. Może znajdzie czas na uczenie się gry na ukulele, które kupiła sobie po wygranej w programie...

Zasypywana jest propozycjami występów- ale razem z Tatą, który jest jej „menadżerem” i życzliwym doradcą, starannie wybiera propozycje – woli kameralne występy, ale zdarzają się też większe imprezy jak np. Festiwal 4M w Mińsku Mazowieckim (24-26.06) gdzie wystąpiła obok takich uznanych już wykonawców jak Raz, Dwa, Trzy, Mela Koteluk czy Dawid Podsiadło.

Szkoda, że tak rzadko możemy jej słuchać w Śremie!

**JESTEM...** ciekawa, jak potoczy się moje życie

**CHCIAŁABYM...** nikogo nie ranić

**MYŚLĘ...** o mojej maturze z matematyki

**INSPIRUJE MNIE...** muzyka innych artystów, historie innych ludzi

**LUBIĘ...** spać... naprawdę lubię spać.

**MUSZĘ...** nauczyć się mówić do ludzi, do publiczności

**ŻAŁUJĘ...** że nie wzięłam się za muzykę jeszcze wcześniej

**BOJĘ SIĘ...** utraty bliskich

**POTRAFIĘ...** dostosować się do sytuacji

Ewa NOWAK

# Jazda

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...  
mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych,  
a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

*Wydawałoby się, że byłe miejsce na mapie nie może być gościnnym miejscem dla realizacji kina drogi. Kino drogi to podróż w nieznaną kojarzone w pierwszym rzędzie z amerykańskimi highwayami i równie amerykańskim mitem o wolności. Kiedy Amerykanie pokazali już klasyczne pozycje kina autostrady: „Urodzeni mordercy” czy „Dzikość serca”, Czech Jan Sverak postanowił nakręcić śródkowo-europejską wersję tego gatunku. Rezultatem tego przedsięwzięcia jest film nieskomplikowany i bardzo pogodny, w sam raz na lato.*

Nakręcona dwadzieścia dwa lata temu za

rekordowo małe pieniądze „Jazda” (zwycięzca festiwalu Karlove Vary w 1995 roku) doczekała się w swoim kraju miana filmu kultowego. Dziesięć lat temu postanowiono jeszcze raz wprowadzić go na ekrany w Polsce, żeby przekonać się, że dzieło Jana Sveraka, twórcy „Koli” i „Butelek zwrotnych” wcale się nie zestarzało. „Jazda” to klasyczne, sprawnie zrealizowane kino drogi, które w każdych okolicznościach znajduje swoich wielbicieli i trafia do świadomości każdego pokolenia. Mnie niestety nigdy nie udało się zobaczyć „Jazdy” na dużym ekranie. Pierwszy raz odkryłam ten film



dzięki bodajże „Kocham kino“ w TVP2 i chwala mu za to!

Historia w filmie jest niezwykle prosta. Para kumpli Radek i Honzik postanawia zażyć wakacyjnej niezależności z dala od praskiego zgiełku. Dysponując szczupłym budżetem, przyjaciele zakupują nierejestrowany samochód i postanawiają pojeździć trochę po kraju w poszukiwaniu przygody. Po drodze spotykają rudowłosą Annę, siedzącą na skraju drogi. Dziewczyna bez namysłu wskazuje do wozu i rusza z chłopakami w nieznaną. Anna niewiele zdradza na swój temat, za to roztacza aurę frywolności, czym rozbudza seksualne nadzieje chłopaków. Szybko się jednak okazuje, że jej śladem podąża zrozpaczony kochanek, który chce ją odzyskać. Pędzący przed siebie czeszy „easy riderzy“ snują niezobowiązujące pogawędki, w których między seksualne fantazje sporadycznie wkrada się egzystencjalna nuta.

W pobliżu jednak nie ma kaktusów, prerii ani autostrady. Jest za to swojsko wyglądający „szrot“, który wprawdzie mieści się pod Pragę, ale równie dobrze mógłby leżeć gdzieś pod Poznaniem albo Białymstokiem, gdzie główni bohaterowie próbują kupić kabriolet. Są boczne wiejskie drogi. Jest jasna zieleń, słomiana żółć, apetyczne kolory środkowo-europejskiej prowincji latem, a ich pogodna tonacja dzięki świetnie skadrowanym zdjęciom Frantiska Brabeca jest sporym atutem filmu. Atutem filmu jest też muzyka zespołu „Buty“, która oscyluje pomiędzy podniosłą, rockową balladą a melancholijnym folklem, która doskonale buduje atmosferę beztróski.

Tak w skrócie przedstawia się „Jazda“. Piękna, subtelna i poruszająca historia o niczym. I o wszystkim. Równie niezwykła jak sam film jest historia jego powstania. Pewnego pięknego dnia na początku lata, z Pragi wyruszyła kiluosobowa ekipa, żeby zrobić film za milion koron. Już sama obsada była nietypowa. Dwójkę przyjaciół grają: Jakub Spalek – aktor i reżyser, oraz Radek Pasternak – debiutujący w roli aktora, wokalista zespołu „Buty“. Igrająca z losem „femme fatale“ to fenomenalna Anna Geislerova. Wszyscy, którzy pracowali przy „Jeździe“ twierdzą zgodnie, że było to jedno

z najniezwyklejszych doświadczeń w ich życiu. Ekipa była tak niewielka, że aktorzy pomagali rozstawiać statywy, asystent kamery pojawiał się w kadrze jako statysta, a Anna Geislerova razem z panią kostiumograf, przygotowywała kanapki dla wszystkich. Mieszkańcy południowych Czech chętnie pomagali filmowcom – w filmie występuje mnóstwo naturšczyków, do zdjęć z powietrza wykorzystano samolot udostępniony za darmo przez szkołę lotniczą. Podobnie „gratisowo“ filmowcy wykorzystali do zdjęć ciężarówkę, pociąg, domek jednorodzinny i oponę od traktora.

Ta letnia, improwizowana jazda, trwała trzy tygodnie. Jej efekt to mądry, subtelny i absorbujący film. Film o tym jak pociągające i niebezpieczne jest przekraczanie granic. Film o fascynacji i jej sile, ale również o miłości. Przede wszystkim jest to jednak chyba film o wolności, która nie jawi się jako trwały stan, a ulotne wrażenie, dla którego warto zaryzykować życie. „Jazda“ jest rodzajem impresji, w której historię w równym stopniu opowiadają oszczędne dialogi i piękne zdjęcia. Pomimo skromnego budżetu, improwizowanego i niemal przypadkowego charakteru, „Jazda“ jest jednym z najlepszych czeskich filmów, jakie udało mi się obejrzeć. Stanowi idealny przykład, jak umiejętnie posługując się prostotą, wciągnąć widza w filmowy świat tak głęboko, by po obejrzeniu, natychmiast za nim zatęsknił.

Żeby zbyt wiele już nie mówić, dodam tylko jedno, znaczące słowo – warto!

Joanna CHMIELEWSKA

Jazda

reżyseria: Jan Sverak

scenariusz: Jan Sverak, Martin Dostal

produkcja: Czechy

premiera: 13 września 1994 (świat), 17 lutego 2006 (Polska)

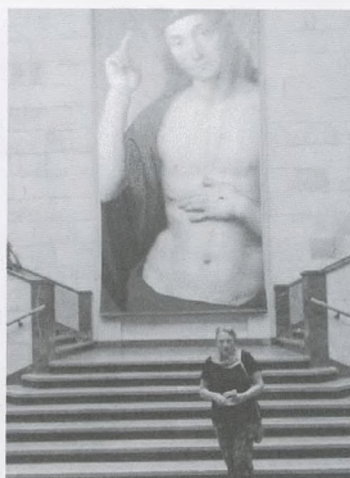
# Brescia. Renesans na północy Włoch. Moretto – Savoldo – Moroni. Rafael – Tycjan – Lotto

Malarstwo renesansowe północnych Włoch można oglądać do 28 sierpnia w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jest to świetnie przygotowana i eksponowana wystawa blisko 50 obrazów głównie z kolekcji Pinakoteki Tosia Martinenga w Brescii i Akademii Carrara w Bergamo oraz włoskich prywatnych zbiorów, które uzupełniają rodzime cenne obrazy z Muzeów Narodowych w Krakowie, Warszawie i Poznaniu oraz Zamku Królewskiego na Wawelu i Zamku w Łańcucie.

Nieco mylący jest plakat wystawy z „Chrytusem błogosławiącym” Rafaela /ok. 1506 r. /, bo mistrz nie jest twórcą północnowłoskim, ale pierwsza z siedmiu sal pokazuje twórczość artystów z Brescii, którzy mierzyli swe siły

z „boskim Rafaellem”... Myląca również jest wielkość dzieła, na plakatach wielokrotnie powiększona. Oryginał namalowany w technice olejnej na desce ma zaledwie 31,5x25,5 cm. Równie niewielka „Madonna z goździkami” jest powtórzeniem kompozycji znajdującej się w londyńskiej National Gallery. Obrazy religijne artystów północnowłoskich są interesujące choć trudno zapamiętać ich nazwiska, bo nie należą do tych najznakomitszych, utrwalonych w podręcznikach.

W kolejnych salach spotykamy tzw. leonardyistów, czyli malarzy będących pod wpływem wielkiego Leonarda, który przez 20 lat tworzył w Mediolanie, gdzie zostawił spore grono kontynuatorów dążących do jak najlepszego



odtworzenia natury. Z tego kręgu chyba najciekawszy jest Alessandro Bonvicino zw. Moretto, którego „Zwiastowanie”/ok.1535/ bardzo przypomina kompozycje mistrza, a twarze Madonny i archanioła wyglądają tak jakby artyście pozowały modele da Vinci...

W dalszych wnętrzach możemy obserwować jak zmienia się charakter obrazów z Brescii i Bergamo pod wpływem Wenecji, która w II poł. XVI w podbija północne połacie „włoskiego buta” w tym poza wymienionymi także Cremonę. Artyści weneccy słyną z koloru, stosują nowe metody warsztatowe, zwracają się ku wiernemu odtwarzaniu rzeczywistości ale i silnej ekspresji.

Artyści Północy pozostają pod ich urokiem i naśladują w dobrym tego słowa znaczeniu. Najciekawsze są chyba sale 5 i 6 pokazujące sztukę portretu. Pozostający pod wpływem Tycjana, Moretto, Savoldo a w szczególności najśłynniejszy z nich Moroni, należą z pewnością do najlepszych portrecistów europejskich. Mistrzowie detalu, potrafią sugestywnie oddać fakturę strojów, połysk jedwabiu czy puszystość aksamitu, lśnienie pereł i drogich kamieni ale przede wszystkim osobowość portretowanego. Moją ulubienicą jest jedyna w tym czasie znana malarka Sofonisba Anquissola z Cremony, która przez wiele lat była nauczycielką hiszpańskiej królowej z francuskim rodowodem – Elżbiety de Valois, a po burzliwym pobycie w Madrycie i na Sycylii osiadła w Genui, malując do końca... Pisałam o niej w GŚ przed kilku laty. W stolicy pokazano kilka jej obrazów, w tym „Partię szachów”/1555 r./ z poznańskiego Muzeum Narodowego, specyficznego portretu zbiorowego jej siostr Lucii, Europy i Minerwy z opiekunką. Mnie bardzo ucieszył „Autoportret przy sztaludze” z Zamku w Łańcucie, który zapewne widziałam zwiedzając tenże, ale nie zwróciłam nań uwagi. Dopiero obrazy widziane w Prado i Pinakotece Brera uświadomiły mi kunszt Sofonisby. Nazywana „pierwszą damą malarstwa” i malarką dusz potrafiła przede wszystkim oddać psychologiczny wymiar portretowanego. Gdy była bardzo sędziwą, 90-letnią kobietą, współczesny jej van Dyck pojechał do niej po rady...

Ostatnia, sala siódma poświęcona jest kulturze

villeggiatury, stylowi życia wolnemu od trosk wyrafinowanemu spędzaniu czasu przy muzyce, poezji i inscenizacjach teatralnych... W malarstwie przekładało się to na zmysłowe akty tycjanowskich kobiet, arkadyjskie pejzaże, muzykowanie na łonie natury itp. Wenery Parisa Bordonego czy Moroniego bardzo przypominają obrazy Tycjana czy Tintoretta, widać fascynację mistrzami weneckimi. W końcu Brescia leży dokładnie w połowie między Mediolanem a Wenecją, a w architekturze miasta wpływy Serenissimy są widoczne.

Szczególnie interesujący jest obraz Dossa Dossiego, niejako zamykający wystawę „Jowisz malujący motyle. Merkury i Cnota” z Zamku Wawelskiego, gdzie ojciec bogów pokazany jest jako malarz i to malarz motyli, tematu enigmatycznego, poetyckiego... Autor podnosi rangę zawodu malarza do wyższej dotychczas w klasyfikacji poezji poety.

Bardzo interesująca jest aranżacja ekspozycji /poza obrazami przedstawia świadectwa kultury materialnej Brescii; meble, medale, majolikę, naczynia szklane, starodruki, zbroje/ zaprojektowana przez znakomitego scenografa czeskiego pracującego w Warszawie – Borisa Kudlickę. Namawiam do obejrzenia tej interesującej wystawy, szczególnie dlatego, że jestem przekonana o wysokim poziomie artystów pracujących poza takimi centrami jak Florencja, Wenecja, Mediolan czy Rzym... Prawie w każdym włoskim mieście trafiamy na świadectwo wielkości epoki, która narodziła się właśnie tutaj – renesansu.

Ula ŁUKOMSKA  
malarka



# Jest takie muzeum prześliczne...

---

...że staram się tam bywać, gdy tylko mogę. Mam na myśli Muzeum Mazowieckie w Płocku, a właściwie tę część jego zbiorów poświęconą secesji i art deco. Jest to największa kolekcja w Polsce z tego okresu. Obejmuje około 6000 przedmiotów sztuki użytkowej: mebli, szkła, porcelany, tkanin, wszelakich ozdób /bibelotów, biżuterii itp./ zgromadzonych w pięknie odnowionych wnętrzach stylowej kamienicy przy ul. Tumskiej. Część ekspozycji znajduje się w zaaranżowanych mieszczańskich apartamentach z przełomu XIX i XX w. Mamy

typowe dla okresu salony, saloniki, pokoje rekreacyjne, jadalnię, sypialnię, gabinet pana domu, bibliotekę, buduar pani, pokój dziecięcy itp. Z ogromną dbałością o szczegół dobrano firanki, tapety, dywany, obrazy z epoki, kwiaty w wazonach i donicach. Wszystko świetnie ze sobą koresponduje zarówno w typie jak i kolorze. Mamy wrażenie, jakbyśmy wybrali się z wizytą do znajomych około 1900 r. Żałuję tylko, że nie ma wyeksponowanej kolekcji pięknych kobiecych sukien, które oglądałam przed laty, zastanawiając się ile czasu traciły



krawcowe czy domowe szwaczki na uszycie tych cacek, na hafty, koronki prawie zawsze wykonywane ręcznie.

W kolejnych salach znajdziemy gabloty pełne sreber, cynowych naczyń, cudownych szklanych waz i wazonów, karafek, porcelanowych figurek, biżuterii itd. Słowem – wyjątkowy zbiór rzemiosła artystycznego.

Moją ulubioną salą jest ta z kolekcją malarstwa i rzeźby secesyjnej. Można tu podziwiać dzieła sławnych malarzy jak: Axentowicz, Chełmoński, Malczewski, Wyspiański, Mehoffer czy Weiss oraz rzeźbiarzy – Dunikowskiego, Szymanowskiego, Laszczki...

Secesja to okres w historii sztuki kończący wiek XIX i obejmujący pierwszą dekadę ubiegłego. Często przyjmuje się początek I wojny światowej za schyłek tego stylu, choć niektóre elementy przetrwały i wchłonięte zostały przez art deco w okresie międzywojnia. Założeniem była stylowa jedność sztuk, łączenie działań różnych dziedzin takich jak architektura wnętrz, rzemiosło artystyczne, rzeźba, malarstwo, grafika. Podstawą było zastosowanie płynnej linii, asymetria, ornamentacja, subtelna kolorystyka, dekoracyjność. Wielu twórców inspirowało się grafiką japońską. Prawie w każdym kraju europejskim rozwinął się ten styl choć najciekawsze dzieła powstały w Anglii, Francji, Holandii, Hiszpanii, Austrii czy Czechach. Nie ma chyba nikogo interesującego się kulturą, kto nie zna Klimta, Muchy czy Gaudiego...

W związku z licznymi odmianami narodowymi secesja nazywana jest Art Nouveau, Jugendstil, Stile Floreale, Stile Liberty.

W Polsce secesja powszechnie utożsamiana jest z Młodą Polską, choć właściwie powinno się mówić, że w okresie Młodej Polski niektórzy artyści posługiwali się stylem secesyjnym. Jeden z największych naszych twórców Stanisław Wyspiański wręcz odżegnywał się od kojarzenia go z secesją, a inni znani artyści jak Sławiński, Wojtkiewicz, Ruszczyc czy Okuń zaledwie pojedyncze dzieła dostosowali do panującej mody...

Secesja, która uznawała powszechne otaczanie się przedmiotami pięknymi, przez masowość wykonania doprowadziła do tworzenia dzieł miernych i tandetnych i chyba to spowodowało potrzebę zmian. Przez wojnę, jej okrucieństwa

i trudne życie po niej, wielu artystów zapomniało o tym stylu. Pierwszym, który podziwiał dzieła twórców secesji był surrealista Salvador Dali.

Muzeum Mazowieckie, jedno z najstarszych w Polsce założone w 1820 r., jako pierwsze w kraju pokazało sztukę secesyjną w 1967 r., w dobie komuny utożsamianą z zdegenerowaną sztuką kapitalizmu.

Przypominam sobie swój obraz malowany na III roku z aktem dziewczyny, którą widziałam w skrócie od ramion i pleców przez co stała się linearnie giętka, byłam z niego bardzo zadowolona... Asystent zrobił minę jakby zobaczył coś okropnego, skrzywił się i dodał: taka secesyjna! I zapewniam, że nie była to uwaga pozytywna... Od tego czasu podziwiam dzieła secesji z jeszcze większym entuzjazmem, oczywiście te dobre. Na szczęście dziś ta sztuka kojarzy się raczej z wyrafinowanym smakiem, jest też dostępna w wielu muzeach i galeriach. Jeśli nie ma się okazji podziwiać ją w Wiedniu czy Paryżu, wystarczy pojechać do Płocka i posłuchać bardzo kompetentnej przewodniczki, która odpowie na wszystkie zadawane pytania... Polecam. Powinam jeszcze dodać, że od 2007 r. muzeum prezentuje również sztukę art deco, ale to już temat na inną okazję.

W kwietniu zabrałam tam grupę moich miłych „kursantów” z ŚOK-u. Kiedyś już pisałam, że ponad dwudziestoletnie prowadzenie zajęć plastycznych zaowocowało nie tylko interesującymi pracami uczestników, ale i chęcią poznawania muzeów i galerii oraz wyjazdami prywatnymi na głośne wystawy. Trzymam rękę na pulsie wydarzeń i cieszę się, że bakcył obcowania ze sztuką udzielił się moim podopiecznym i znajomym. Rekomendując moje ulubione muzeum nie sposób pominąć sympatycznego Green Hotelu, w którym się zatrzymaliśmy na nocleg. Wieczorem byliśmy w teatrze, a nazajutrz pojechaliliśmy zwiedzić piękny zamek w Oporowie, perełkę architektury gotyckiej.

Jesienią wybieramy się do Nieborowa obejrzeć wystawę najśłynniejszej francuskiej malarki XVIII w. Elisabeth V. Lebrun, o której pisałam w GŚ równo rok temu...

Ula ŁUKOMSKA  
malarka

# Rodzina i przyjaciele ks. Piotra Wawrzyniaka

---

O ks. Piotrze Wawrzyniaku (1849-1910), absolwencie śremskiego gimnazjum, duchownym i działaczu społecznym napisano już wiele. W wykładzie jaki 25 maja wysłuchali w Muzeum Śremskim uczniowie Zespołu Szkół Ekonomicznych im. C. Ratajskiego, przypominałam najważniejsze fakty z bogatej biografii ks. Piotra, ale skupiłam się przede wszystkim na mniej znanych lub nowych, związanych z jego najbliższą rodziną i niektórych przyjaciółach.

Ks. Piotr Wawrzyniak miał trzech braci i trzy siostry (ur. w latach 1852-1862). Agnieszka Wawrzyniak (ur. 1857) była, do ślubu z niejakim

panem Misiórnym, gosposią w rodzinie zaprzyjaźnionego z ks. Piotrem księgarza śremskiego Kazimierza Gąsiorowskiego (1841-1908). W tym nieistniejącym już dziś domu przy ul. Poznańskiej miał ks. Wawrzyniak swój „pokój do spokojnej pracy”, gdy zmuszony był chronić się przez licznie go nawiedzających interesantów. Najmłodsza, mieszkająca w Łuszkowie siostra ks. Piotra, Marianna Sikora (1862-1902) miała dziesięcioro dzieci. Dwie jej córki: Antonia i Karmelita wstąpiły do zakonu elżbietanek, które do Śremu wcześniej sprowadził do Śremu ks. Wawrzyniak. Antonia i Karmelita przez wiele lat pracowały w naszym mieście. Antonia podczas pierwszej wojny





światowej była pielęgniarką w szpitalu polowym w okolicach Verdun we Francji.

Do dziś cenione są przez biologów naukowe prace ks. dra Franciszka Wawrzyniaka (1884-1941), stryjecznego brata ks. Piotra. Będąc już proboszczem w Dziekanowicach k. Gniezna ks. Franciszek Wawrzyniak studiował od 1919 r. biologię na Uniwersytecie Poznańskim. Badał rośliny wodne w Jeziorze Lednickim i został wybitnym algologiem.

Uczniowie dowiedzieli się, że wielu kolegów gimnazjalnych ks. Piotra Wawrzyniaka zapisało się także na trwałe w polskiej kulturze i życiu społecznym trudnych czasów zaborów. Do nich należeli między innymi Antoni Kalina, wybitny językoznawca i profesor Uniwersytetu Lwowskiego; Oskar Callier językoznawca, autor słowników polsko-niemieckich i polsko-francuskich; ks. Stanisław Noga i ks. Antoni Skapski.

Do grona przyjaciół, choć niestety krótko, ks. Piotra Wawrzyniaka należał także dr Seweryn Matuszewski. Przybył on do Śremu w 1905 r., a od 1914 r. kierował Bankiem Ludowym. W 1923 r. za sprawą dr. Matuszewskiego na froncie kamienicy, siedzibie Banku, wmurowano tablicę ku pamięci życia i działalności ks. Piotra

Wawrzyniaka w Śremie.

Bez wątpienia, jak pisze Agnieszka Baszko, kierownik Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu („Winieta” nr 3: 2015) wiele nowych faktów z życia i działalności ks. Piotra Wawrzyniaka wniesie monografia ekonomisty i działacza ruchu spółdzielczego Rusa Jaremeo Kusztelana (1884-1935). W październiku 2015 r. maszynopis pracy liczący 2400 stron, przekazał Bibliotece najmłodszy syn Rusa Kusztelana, mieszkający na stałe w Londynie – Leszek Kusztelan. Podkreślić trzeba, że Rus Kusztelan pracował nad monografią o ks. Piotrze wiele lat i czerpał z żywej jeszcze w latach międzywojennych tradycji ustnej. Korzystał z wielu źródeł archiwalnych i z zaginionych dziś materiałów. Wybuch wojny w 1939 r. przerwał druk monografii w Spółdzielczym Instytucie Naukowym w Warszawie. Wkrótce podjęte zostaną ponownie w Bibliotece Raczyńskich prace przygotowujące do druku monografię Rusa Kusztelana. W Śremie z ciekawością oczekujemy na nową książkę o ks. Piotrze Wawrzyniaku.

Danuta PŁYGAWKO  
fot. zbiory muzeum



# śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem  
ul. A. Mickiewicza 77  
tel. 61 2835904, fax 61 2810081  
www.sok-srem.pl  
e-mail: biuro@sok-srem.pl



## KINO dla dzieci

### lipiec

#### JAK URATOWAĆ MAMĘ

01-04.07. godz. 15:45

#### GDZIE JEST DORY

05.07. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
06.07. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
07.07. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D  
08.07. godz. 16:00-3D, 18:00-2D  
09.07. godz. 16:00-3D, 18:00-2D  
10.07. godz. 16:00-2D, 18:00-3D  
11.07. godz. 16:00-3D, 18:00-2D  
12.07. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
13.07. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
14.07. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D

#### RATCHET I CLANK

19.07. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
20.07. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
21.07. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D

#### ODLOTOWA PRZYGODA

26.07. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
27.07. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
28.07. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D



Seanse o godzinie 13:30 zostały dofinansowane w 50% przez Gminę Śrem.

Ceny biletów ulgowych: seans 2D - 6zł, seans 3D - 8zł.

W przypadku zakupu biletów na seans 3D, okulary - 2,50zł.

Promocja dotyczy tylko dzieci i młodzieży z Gminy Śrem. Bilety dla dorosłych w normalnej cenie.

Normalne ceny biletów: seanse 2D: ulg. - 12 zł, norm. - 15 zł, seanse 3D: ulg. - 16 zł, norm. - 19 zł, okulary 3D - 5 zł.



### sierpień

#### ROBINSON CRUSOE

02.08. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
03.08. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
04.08. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D

#### 7 KRASNOLUDKÓW I KRÓLEWNA ŚNIEŻKA - NOWE PRZYGODY

09.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00  
10.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00  
11.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00

#### EPOKA LODOWCOWA 5: MOCNE UDERZENIE

16.08. godz. 11:00-2D, 13:30-2D, 16:00-3D  
17.08. godz. 11:00-2D, 13:30-3D, 16:00-2D  
18.08. godz. 11:00-3D, 13:30-2D, 16:00-2D  
19.08. godz. 15:30-3D, 17:45-2D  
20.08. godz. 15:30-3D, 17:45-2D  
21.08. godz. 15:30-2D, 17:45-3D  
22.08. godz. 15:30-3D, 17:45-2D

#### BARBIE: GWIEZDNA PRZYGODA

23.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00  
24.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00  
25.08. godz. 11:00, 13:30, 16:00





**LETNIE KINO PLENEROWE**

Plaża Miejska, wstęp wolny

15.07 "Ognioodporni"

22.07 "Idealna fala"

05.08 "Wychodne mamusiek"

12.08 "Pilecki"

Seanse w lipcu rozpoczynają się najwcześniej o godz. 22.00, w sierpniu ok. godz. 21.30/22.00.

 **Śremski ośrodek kultury**

# WAKACYJNE WARSZTATY W ŚOK

## WTORKI

### Ebru - warsztaty malowania na wodzie

prowadzący: Katarzyna Hertmanowska

Podczas warsztatów dzieci poznają Ebru, czyli wywodzący się z Japonii sposób zdobienia papieru za pomocą nakładania na powierzchnię wody cieniutkich warstw farby.

Zajęcia odbywają się we wtorki. Grupa I w godz.: 10.00 - 12.00, grupa II w godz.: 12.00-14.00.

## Robotyka

prowadzący: Maciej Janicki, Natalia Janicka

Warsztaty robotyki to połączenie informatyki, budowania robotów i świetnej zabawy przy okazji połączonej z rozwijaniem logicznego myślenia i wypolerzani przestrzennej dzieci.

Zajęcia odbywają się we wtorki. Grupa I w godz.: 10.00 - 12.00, grupa II w godz.: 12.00-14.00.

## ŚRODY

### Plenery malarskie w ŚOK

prowadzący: Piotr Wegner

Podczas zajęć dzieci poznają różne techniki malarskie, doskonalą swoje umiejętności plastyczne.

Zajęcia odbywają się w środy. Grupa I w godz.: 10.00 - 12.00, grupa II w godz.: 12.00-14.00.

### Letnia pracownia plastycznych różności

prowadzący: Katarzyna Hertmanowska

Podczas warsztatów dzieci między innymi uczą się filcowania na mokro, zdobienia techniką serwetkową, zdobią przedmioty, poznają nietypowe zabawy plastyczne z bankami.

Zajęcia odbywają się w środy. Grupa I w godz.: 10.00 - 12.00, grupa II w godz.: 12.00-14.00.

Koszt zajęć to 10 zł/dzień (dziecko bierze udział w dwóch warsztatach danego dnia).

Grupa I (dzieci młodsze - wiek: 6-8 lat)

Grupa II (dzieci starsze - wiek: 9-12 lat)

 **Śremski ośrodek kultury**

Zapisy na zajęcia w ŚOK lub pod nr tel.: 61 28 35 904. Liczba miejsc ograniczona.

# Biblioteka- - drugi dom

---



(rysunek: zasoby internetu  
<http://social.katalux.pl/nowe-sposoby-komunikacji/> )

Faktem jest, że Biblioteki XXI wieku przekształcają się w nowoczesne centra dostępu do wiedzy, kultury oraz ośrodki życia społecznego. Są one coraz lepiej wyposażone w sprzęt komputerowy i nowoczesne technologie komputerowe, z których korzystają zarówno bibliotekarze jak i użytkownicy bibliotek. Komputeryzacja bibliotek, cyfryzacja zasobów, umożliwianie czytelnikom dostępu do zbiorów innych bibliotek, to proces nieuchronny. Komunikatory sieciowe powodują, że biblioteki zmieniają swoje oblicze i wychodzą naprzeciw potrzebom użytkowników. Czytelnicy mogą

korzystać z elektronicznych otwartych zasobów naukowych i edukacyjnych (open access), blogów naukowych, e-laboratoriów, które stają się nowymi formami komunikacji medialnej. Internetowy katalog biblioteczny umożliwia przeglądanie zbiorów o każdej porze i w każdym miejscu. W niepamięć odchodzą biblioteczne





katalogi kartkowe i wypisywane papierowe rewersy.

Powstały nowe sposoby komunikowania medialnego. Są one interaktywne, co oznacza zdolność do wzajemnego oddziaływania na siebie komunikujących się stron, jednoczesnego odbierania informacji i reagowania na nią. Trudno sobie wyobrazić współczesną bibliotekę bez INTERNETU, E-MAILI czy TELEFONII. Niektóre z bibliotek wysyłają np. SMS-y upominając się o zwrot książek, albo zapraszając na organizowane wydarzenia. Coraz częściej w komunikacji wykorzystywany jest CZAT, SKYPE, GADU-GADU i inne komunikatory. Biblioteki błyskawicznie docierają do swoich użytkowników wykorzystując FACEBOOK, TWITTER czy INSTAGRAM. Coraz częściej organizowane są WEBINARIA, WIDEOKONFERENCJE, czy SPOTKANIA

„ON-LINE”. Powstają też biblioteczne internetowe FORA i GRUPY DYSKUSYJNE, które służą wymianie informacji i poglądów, ale także są narzędziem, za pomocą którego można podawać użytkownikom aktualne informacje biblioteczne. Bibliotekarze od wielu lat korzystają z serwisu EBIB-u, nauczyciele mają swoje forum „BIBLIOTEKI W SZKOLE”, a bibliotekarze bibliotek cyfrowych forum BIBLIOTEKA 2.0. Coraz częściej fora dyskusyjne pojawiają się także w bibliotekach publicznych, dając możliwość elektronicznej komunikacji pomiędzy bibliotekarzami a odbiorcami bibliotecznych usług. Warto zajrzeć na forum dyskusyjne np. wrocławskiej Mediateki, fora warszawskich bibliotek publicznych – w Bemowie i w Wesołej, bibliotek publicznych w Jaworznie, Tarnowie, czy małej biblioteki w Imielinie, która zachęca swoich użytkowników do zadawania pytań, propono-



wania zakupu nowych książek, czy dzielenia się wrażeniami na temat organizowanych przez bibliotekę imprez.

Widząc jak zmieniają się sposoby komunikowania bibliotekarzy z czytelnikami, nie możemy zapomnieć jednak o tradycyjnych formach. Tak jak nie zastąpi książki papierowej książka elektroniczna, tak komunikacja medialna (elektroniczna) nie zastąpi komunikacji interpersonalnej. Kilkanaście lat temu J. Wojciechowski pisał, że „Biblioteczna praca z użytkownikiem polega też na komunikowaniu werbalnym, pisemnym, medialnym. Wciąż jeszcze oparta na fizycznej obecności użytkowników w bibliotece oraz na bezpośrednich relacjach, z czasem w większym stopniu będzie też zapewne realizowana na odległość, z wykorzystaniem różnych form łączności. Tradycyjnie nadawcą bywa zwykle bibliotekarz a odbiorcą użytkownik, ale w miarę równoważenia się relacji, powinna nastąpić wymienność ról nadawców oraz odbiorców”

(J. Wojciechowski, *Praca z użytkownikiem w bibliotece*, Warszawa 2000, s. 25.)

Zatem, w dalszym ciągu, praca w bibliotekach opiera się na bezpośrednim kontakcie bibliotekarza z czytelnikiem, który zazwyczaj pierwsze swoje kroki kieruje do wypożyczalni. A od tego, jak zostanie tu przyjęty i obsłużony, w dużej mierze zależy czy dalej będzie korzystał z zasobów bibliotecznych. Dlatego też, w trosce o czytelnika w wielu bibliotekach przed ladą biblioteczną czeka na czytelnika wygodne krzesło, na którym może spocząć i spokojnie komunikować się z bibliotekarzem. Starsi czytelnicy, pamiętający kartkowe katalogi, czasami tęsknią do dawnego klimatu „starej” biblioteki i żalą się, że współczesne biblioteki nie mają tego „czegoś”, co powodowało, że dawniej można było spędzać wśród książek wiele godzin.

Niemożliwy jest powrót do przeszłości i dawnych form pracy bibliotekarzy, którzy kurczowo trzymaliby się np. kartkowych



katalogów, bo biblioteki straciłyby swoją rację bytu. Ale możliwe jest „udomowienie” biblioteki i stworzenie miejsca, które od progu kojarzyć się będzie z przyjazną przestrzenią a nie typową instytucją. Domową atmosferę tworzą aranżowane w bibliotece klimatyczne miejsca: kąciaki z kanapami, fotelami i nastrojowym oświetleniem, saloniki czytelnicze w stylu retro, baśniowe salki animacji. Takie miejsca powstały w śremskiej bibliotece i okazuje się, że korzystają z nich nie tylko seniorzy, ale także młodzi czytelnicy. W takich pomieszczeniach proces komunikowania się bibliotekarzy z użytkownikami jest bezpośredni i spersonalizowany, można powiedzieć, że często rodzinny. O rodzinnym charakterze naszej biblioteki świadczą np. wpisy czytelników na facebook'u: *Bardzo fajne miejsce dla każdego czytelnika i nie tylko pozdrawiam. Mogłabym tutaj zamieszkać. Mój drugi dom.*

Zmieniając oblicze Bibliotek XXI wieku trzeba pamiętać, że klimat i przyjazną atmosferę

bibliotek tworzymy my bibliotekarze, czerpiący radość z kontaktów z drugim człowiekiem. Bez czytelników i bibliotekarzy, bez indywidualnego i bezpośredniego komunikowania się, nawet najbardziej nowoczesne biblioteki będą jedynie bezdusznymi budynkami przepełnionymi elektroniką, w których magazynować będziemy książki, po które nikt nie będzie przychodził. Bo przecież wszystko ponoć mamy w Internecie...

Jerzy KONDRAS  
fot. zbiory biblioteki



## Robert ŁUCZAK

Muzyk, kompozytor

---

### Gazeta Śremska

siedziba redakcji - Muzeum Śremskie  
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89,  
tel. 61 2835938, kom. 533 875 030  
e-mail: muzeum@srem.pl www.muzeum.srem.pl

### Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń  
i reklam oraz zmiany programów i terminów  
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

### Okładka:

Fot. ze zbiorów Muzeum Literackiego H. Sienkiewicza,  
oddział Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu.

### Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)  
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)  
Katarzyna TOMCZAK (korektorka)

### Projekt okładki i układu typograficznego:

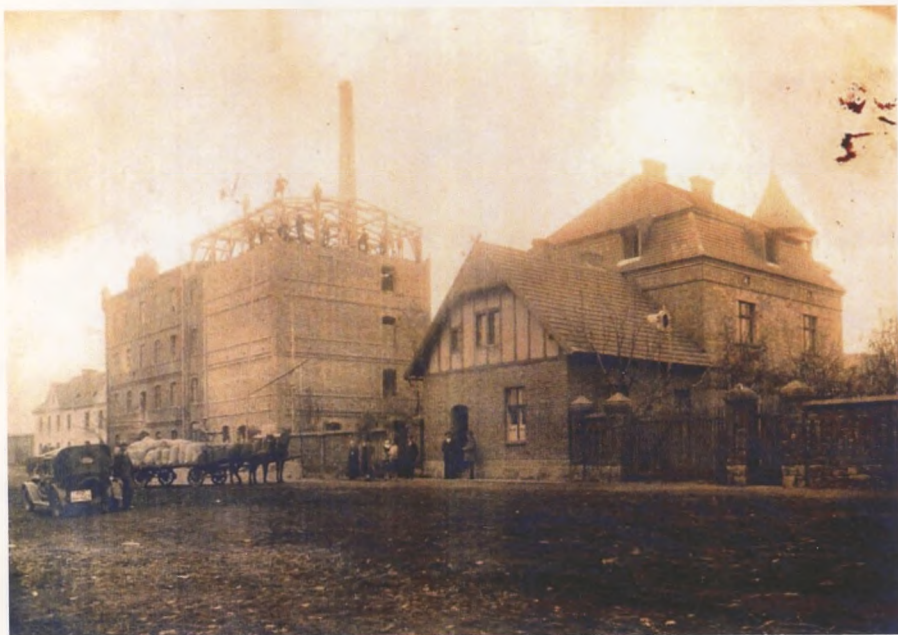
Patrycja ŁUKOMSKA

### Okładka:

Aranżacja: - Szymon Majewski

### Skład i druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz  
tel. 61 2841208 www.drukarniasrem.pl



SYLWESTER SZCZEPSKI Z RODZINĄ, 1931r.  
FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW ALEKSANDRA ŚMIGIELSKIEGO

# DOKUMENTY.



FOTOGRAFIA WSPÓŁCZESNA  
AUTOR: Szymon Majewski



Kamil Kaspzak Fotografia